

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



NA JARMARKU TATARSKIM

JÓZEF BRANDT



WINCENTY LUTOSŁAWSKI:

## SZTUKA ZDROWIA.

Wyszła niedawno jednocześnie w Anglii i Ameryce bardzo ciekawa książka, napisana przez Upton Sinclaira i Michael Williamsa, pod tytułem *The Art of Health, a primer of the new hygiene* (Sztuka zdrowia, elementarz nowej higieny).

Jest to bardzo jasny, przystępny i interesujący obraz tej, na ogromną skalę prowadzonej walki o uświadomienie higieniczne społeczeństwa, którą kilkanaście lat temu rozpoczął znakomity „przeżuwach”, Horace Fletcher.

Dzisiaj na czele ruchu stoi komitet ze stu członków, nazwany komitetem zdrowia narodowego (Committee on National Health), w którym udział bierze wielu znakomych higienistów i wychowawców, przy stanowczym poparciu byłego prezydenta Roosevelta, który w grudniu 1907 roku w ten sposób się o tej kwestyi wyraził:

„Kwestya zdrowia publicznego budzi wzrastające zainteresowanie w naszym kraju. Nareszcie opinia publiczna zrozumiała, że niektóre choroby, szczególnie suchoty, są plagami narodowymi. Praca rad zdrowia w stanach i miastach powinna być uzupełniona przez wzrastający udział rządu centralnego. Kongres Stanów Zjednoczonych już utworzył biuro zdrowia publicznego i wydaje sprawozdania higieniczne. Istnieją też doniosłe prawa, dotyczące zdrowia publicznego, a wykonywane przez różne urzędy. Cały ten dział pracy rządowej powinien wzrastać i znaleźć powszechne poparcie”.

Ministerium rolnictwa wydaje w Waszyngtonie cyrkularze, w których rozpowszechnia takie wiadomości higieniczne, jak np. skład chemiczny pokarmów. Wielkie firmy przemysłowe urządzają wykłady higieniczne dla swych urzędników i robotników.

Powstała w ostatnich latach Liga zdrowia, licząca już sześć tysięcy członków, rozproszonych po dwustu miastach Stanów Zjednoczonych. Nadto komitet zdrowia narodowego wydaje swój oficjalny organ *American Health*, którego numery okazowe są rozsyłane bezpłatnie (na żądanie, skierowane do „Executive Secretary”, Drawer 30, New Haven, Com. U. S. A.)

Liczne dzieła wychodzą, w których zasady nowej higieny są rozpowszechniane, a cała ta rozległa kampania ma za główne swe hasło zmniejszenie potrzeb, walkę ze zbytkiem, który doprowadził do zniszczenia każdą minioną cywilizację.

Narody, w miarę jak zdobywały bogactwo i władzę, zawsze były zagrożone leniństwem i zbytkiem, obżarstwem, pijaństwem i rozpustą, które niszczyły ich siły żywotne. W ten sposób musiały kolejno ustępować przodujące swe stanowisko innym narodom, jeszcze nie zepsutym.

Dziś już cała ziemia jest opanowana przez jedną rasę, niema skąd się spodziewać najazdu barbarzyńców, coby nam krew odnowili.

Trzeba więc zapobiedz rozkładowi wewnętrznemu, który nam grozi wskutek niehigienicznych warunków, jakie się zakradły do wielkich zbiorowisk, ognisk cywilizacji.

Ludzie za wiele i zbyt pośpiesznie jedzą, używają za mało ruchu, oddychają zbyt powierzchownie, pracują umysłowo w zbyt wczesnym wieku, zatrują sobie wzajemnie powietrze, nie tylko zatrutymi wyziewami zwyrodniałych organizmów, lecz także tytoniem, i piją trunki alkoholiczne, a wskutek tego ulegają rozpuszczeniu.

W setkach dzieł amerykańskich o warunkach doskonałej sprawności ciała i umysłu znajdujemy jednomyślnie zalecane pewne przykazania nowej higieny, nie całkiem zgodne z tem, co u nas uchodzi za naukowo dowiedzione, bo my się, niestety, wszystkiego jeszcze od Niemców uczymy!

Niemcy zaś kładą nacisk na jakieś dosyć wysokie minimum białka, które jakoby jest niezbędne dla utrzymania zdrowia. To minimum obliczone jest według ilości azotu, wydzielanego przez tych, co się żywią według zwykłej normy.

Amerykanie zaś dowiedli, że, gdy mniej białka spożywać, to mniej się wydziela, i nie tylko na tem się nic nie traci, lecz i owszem, zyskuje się ogromnie na siłach i wytrzymałości.

W Yale University robiono doświadczenia wytrzymałości tych, co spożywali zwykły wikt mięsny, w porównaniu z tymi, co używali daleko mniej białka, poprzestając na wikcie roślinnym.

Okazało się, że z 15 mięsożerców tylko dwóch mogło utrzymać wyciągnięte ręce poziomo przez więcej, niż kwadrans, podczas kiedy 22 jarosów z 30 przekroczyło tę granicę. Żaden z mięsożernych siłaczy nie wytrzymał tej próby przez pół godziny, zaś piętnastu z pośród trzydziestu dwóch jaroszy przekroczyło nawet tę granicę, dziewięciu godzinę, czterech dwie godziny, a jeden trzymał ręce w bok wyciągnięte przez dwieście minut.

Inna próba polegała na przykucnięciu, trzymając korpus pionowo. Z dziewięciu mięsożernych tylko trzech zdołało to uczynić więcej niż 325 razy, podczas kiedy siedemnastu jaroszy przekroczyło tę cyfrę. Żaden mięsożerny nie przekroczył dwóch tysięcy razy, podczas gdy dwóch jaroszy to uczyniło.

Wiele podobnych doświadczeń przytaczają Upton Sinclair i Michael Williams w swem dziele, dowodząc korzyści, płynących ze zmniejszenia ilości spożywanego białka, szczególnie zwierzęcego.

Przykazania higieniczne, szerzone teraz w Ameryce przez setki autorów jednomyślnie, są następujące:

1. Nie jedz nigdy bez głodu, a jednak zawsze o stałej porze, nigdy częściej niż dwa razy dziennie, pierwszy raz w kilka godzin po wstaniu, a drugi raz na sześć najmniej godzin przed snem. To zmienia zupełnie zwykłe godziny, dotąd dla jadała uświęcone zwyczajem, bo wypadłoby przy normalnych godzinach snu jadać o 10 rano i o 4 po południu.

2. Unikaj mięsa, ryb, jaj, grzybów. Wstrzymaj się zupełnie od alkoholu, tytoniu, kawy, herbaty, czekolady, kakao. Nie mieszaj owoców z jarzynami, bo wymagają one rozmaitych soków trawienia, lecz jadać raz jarzyny i chleb lub nabiał, a drugi raz owoce i orzechy lub migdały.

3) Przeżuwać każdy kęs, aż ci się rozpułynie w ustach bez połykania. Nigdy nie bierz następnego kęsa, dopóki poprzedni się nie rozpułnił. Nigdy nie jedz drugi raz, dopóki pierwszego posiłku nie strawiłeś. Nie żądaj od żołądka, by trawił podczas snu. Nigdy nie pij przy jedzeniu, lecz jedz rzeczy możliwie suche i twarde, któreby ćwiczyły zęby i wywoływały obficie ślinę. Pij obficie czystą wodę na godzinę i na dwie lub trzy godziny przed jedzeniem, aby cię dostarczył dostatecznej ilości płynu.

Przy zachowaniu powyższych trzech przykazań ilość jadała, potrzebna dla zaspokojenia głodu i utrzymania sił, okaże się zmniejszoną o dwie trzecie w porównaniu z tem, co dotąd zwykle się jadało. Dalsze przykazania dotyczą następujących przedmiotów:

4. Obmywaj codzień całe ciało, wycierając je ręką lub szczotką do sucha.

5. Czyść starannie zęby po każdym posiłku, dokonywając ich dezynfekcyi dokładnej.

6. Używaj obficie ruchu fizycznego i oddychaj głęboko a rytmicznie.

Higieniści amerykańscy wierzą i zaręczają, że ściśle zachowanie tych prostych sześciu przykazań wystarczyłoby dla przedłużenia przeciętnej długości życia w dwójnasób, a zmniejszyłoby wydatki na utrzymanie bardzo znacznie. Gotowanie jedzenia nie byłoby czynnością, która zajmuje prawie cały dzień, a naukowcy się nowej towarzyskości bez obżarstwa, tak jak już oddawna stworzono towarzyskie stosunki bez alkoholu.

Używanie nadmiaru białka zwierzęcego i niedostateczne trawienie go wskutek zepsucia zębów i zaniedbania przeżuwania, stało się nałogiem, który grozi całej ludzkości degeneracją fizyczną, a mści się, wytwarzając mnóstwo chronicznych chorób żołądka i nerwów.

Dziś mamy już setki tysięcy ludzi w Ameryce, którzy wypróbowali nową higienę, wprowadzili do życia powyższe proste i jasne przykazania, a przez to pozbyli się w krótkim czasie wielu chorób, na które żadne lekarstwa nie pomagały.

Ale odwykanie od nadmiaru białka wymaga takiego samego przewyciężenia istniejących skłonności, jak odwykanie od alkoholu i tytoniu.

Ci, co wchodzą na drogę nowej higieny, z początku czują się osłabieni, tak jak pijacy, pozbawieni alkoholu, palacze, pozbawieni tytoniu.

Trzeba mieć odwagę walki z tą sztuczną skłonnością do wielkich ilości białka zwierzęcego, która wytworzona została przez naszą cywilizację, a która była jeszcze całkiem obca Grekom w najlepszej dobie rozkwitu ich życia społecznego.

Zasługę tej reformy, jaka teraz się szerzy w Stanach Zjednoczonych, przypisać należy sławnemu Fletcherowi, który od kilkunastu lat całą swą odzyskaną przez staranne przeżywanie jedzenia energię kładzie w nauczanie swych rodaków, jak jeść należy.

Czyni to wykładami, książkami, oraz doświadczeniami naukowymi, do których umiał zachęcić znakomych fizjologów amerykańskich i angielskich.

Powiedziano już o nim, że on przeżuwa przeżywanie, a jednak czasownik *fleczerować* wejdzie do wszystkich słowników, i pomniki wielkiego przeżuwacza będą zdobić place wielu miast amerykańskich.

Upton Sinclair i Michael Williams podają nam żywot i doświadczenia tego niepospolitego człowieka. Sam miałem raz okazję w Bostonie jeść śniadanie z Fletcherem i przekonałem się, że ściśle stosuje sam do siebie przepisy, które innym zaleca, dzięki czemu już po pięćdziesiątym roku życia zdołał zupełnie odnowić zużyty przez dawniejsze swe obżarstwo organizm.

Przekonał się on na sobie, że, w miarę jak kto staranniej przeżuwa jedzenie, coraz to mniejsza ilość i mniejsza rozmaitość jadała wystarcza, by utrzymać ciało w sprawności i zdrowiu.

Reforma ta higieniczna z natury rzeczy stanie się zarazem reformą obyczajową i ekonomiczną. Ludzie o powiększonej żywotności przez higienę będą wiedzieli, jak użyć zaoszczędzone fundusze na cele społecznie użyteczne. Wszak za to, co się dziś wydaje u nas lub gdzieindziej na tytuń, alkohol i nadmiar niepotrzebnego jadała, możnaby dać bezpłatne wychowanie i wykształcenie wszystkim mieszkańcom do 16 roku życia, co zupełnieby przeobraziło wszystkie społeczne i ekonomiczne stosunki.



JÓZEF WEYSSENHOFF:

## ROZMOWY LITERACKIE

O LAURACH WYSPIAŃSKIEGO.

II.

Jednym z talizmanów Wyspiańskiego, zyskującym mu uznanie, ma być jego oryginalność. Jest to pochwała zbyt często szafowana nieoględnie. Bo oczywiście nowość, polegająca na mnogości licencji poetyckich, na zaniedbaniu stylu i konsekwentnej budowy dzieła, na żartach w rodzaju tej rymowanej reżyseryi „Wyzwolenia” — nie może być poczytana poecie za zaletę. Samego lekceważenia dawnych prawideł nazwać nie można chwalebłą oryginalnością. Zresztą Wyspiański w swych zasadniczych pomysłach, w scenach i wyrazach nie jest wcale wolny od naśladownictwa, a przynajmniej od reminiscencji wszelkiego gatunku. Wezmę na dowód parę przykładów ze słynnego „Wesela”.

Na czym polega tu wynalazek literacki? Nie na opisie chłopskiego wesela, tym najpopularniejszym chyba temacie w poezji i malarstwie. Jest to wprawdzie wesele ze wszech miar osobliwe, najprzód dlatego, że osnute na rzeczywistym akcie małżeńskim, zawartym przez głośnego poetę naszych czasów z krakowską właścianką. Ta reminiscencya biograficzna jest tu wszelako użyta z umiarkowaniem, nie mąci całości. Ale długi byłby spis reminiscencji krakowskich, cisnących się do obrazów np. greckich w innych dziełach poety, lub przeciwnie — wyliczenie gotowych oddawna, cudzych pomysłów greckich, biblijnych, angielskich, wtłoczonych w ramy podwawelskiego grodu. Wogóle Wyspiańskiemu prawie nigdy nie udaje się wyzwolić wyobraźnią z obrębu Krakowa i okolicy. W każdym niemal jego obrazie scenicznym widać na horyzoncie Wawel i wieżę Maryacką, jak górę Fusijama w japońskich malowidłach. Piękny to widok, — ale świat sztuki, nawet polskiej, jest szerszy...

Powracam jednak do „Wesela”, z którego autor czyni obraz dziejowy narodu polskiego. Pomysł rzeczywiście oryginalny, choć nie bez precedensów („Slavus saltans”). W dziwnej kompozycji, rozdymającej się od zera aż do milionów i kurczącej się znowu do zera, rozsiał poeta wielką ilość szkicowych charakterystyk, aforyzmów, wyroków, ironicznych przytyków, stosujących się do chaty, w której rzecz się dzieje, to do chłopca polskiego wogóle, to do całego narodu, to znowu do jakiejś krakowskiej wiadomości bieżącej. W tych rozmiarach tak elastycznych łatwo się zabłąkać. Ja np. wyznaję ze skruchą, że nie wiem, jaki to „cham” miał złoty róg? Czy kmieć piastowski? czy chłop kościuszkowski? czy wreszcie „cha-

mem” przewano tu cały naród, który niebacznie utracił swój „złoty róg”, t. j. swe zasoby, zaszczyty, czy okazyje dziejowe?

To jedno wiem dokumentnie, że złoty róg nosili już i Roland, i Barbarossa, i Chrobry i Ernani; że ten sprzęt należy nie do najnowszych rekwizytów poetyckich.

Pominąwszy liczne podobieństwa, powierzchowne i głębsze, z „Dziadami” Mickiewicza (hetman, upiór), z komedjami Szekspira, zdążam do sceny końcowej.

Zapadanie całych towarzystw, pałaców,

śni 3-ej). Tu już można zanotować naśladownictwo, i to dotyczące zasadniczego pomysłu.

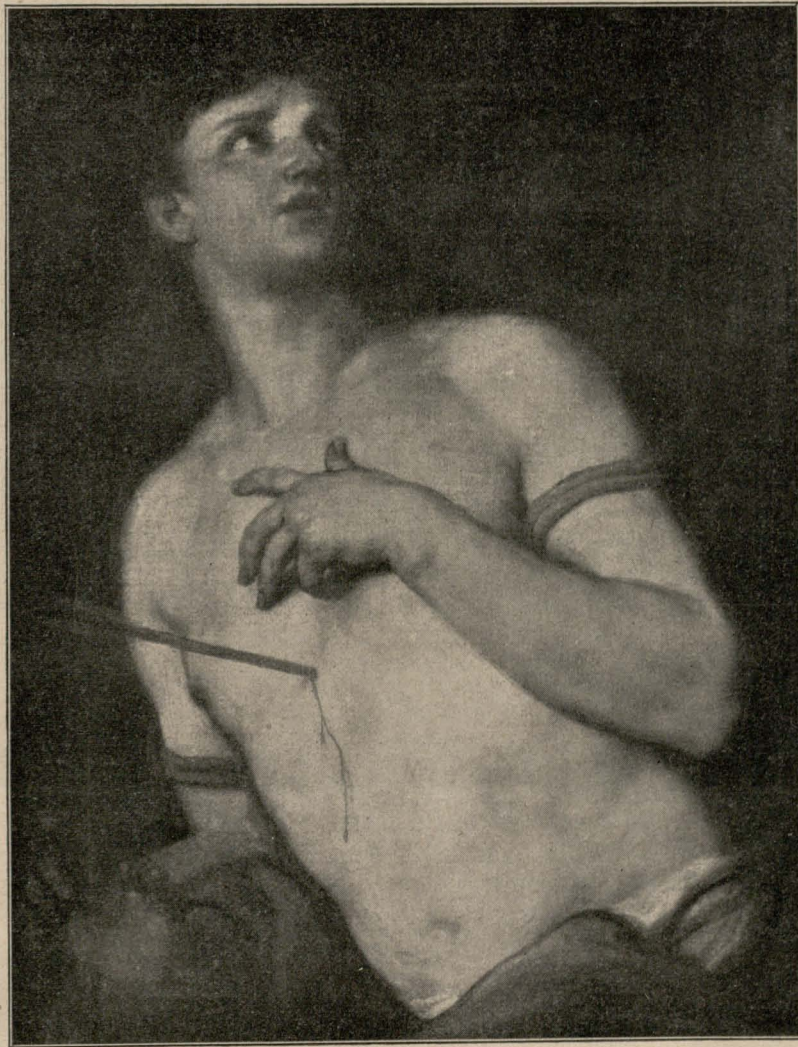
Słusznie to podniesiono, że reminiscencye z cudzych utworów nie zasługują na miano plagiatów, jeżeli są z gruntu przetworzone w nowym wcieleniu, przywłaszczone bez podstępów i oświecone odmiennie. Tę uwagę przyjąć należy przy ocenie naśladownictwa Wyspiańskiego. Mnogość jednak reminiscencji w dziele poety nie świadczy, oczywiście, o płodności jego wyobraźni twórczej. A zbyt łatwo wykazać w każdym dramacie czy poemacie krakowskiego mistrza myśli i formy Sofoklesa, Eschylosa, Szekspira, Mickiewicza, Słowackiego, Maeterlincka...

Napróżno by też szukać w dziełach Wyspiańskiego jakiej wielkiej postaci z krwi i kości, z namysłu i natchnienia — stworzonej. Bierze zazwyczaj postacie historyczne i wciąga je w wirowy zamęt swych wspomnień, swej erudycji i wyobraźni. Gorzej, gdy postacie, należące do dawnych autorów, lub do ustalonej legendy, przywłaszcza sobie Wyspiański jako gotowe uosobienia pojęć, wprowadzie srodze przemalowane (Odysseus, Stańczyk, Konrad, Hamlet, bóstwa Olimpu i t. d.). Ale najgorzej, gdy zachodzi potrzeba człowieka współczesnego. Ten nie zjawia się prawie nigdy w postaci, którejby można zapamiętać jakieś rysy osobiste. Będzie to Dziennikarz, Matka, Radczyni, Żyd, Sędzia — nigdy żywy człowiek, zawsze — maska. Przegląd osób działających w dramatach Wyspiańskiego doprowadza do zwątpienia o mocy twórczej tej wyobraźni, tak pozornie oryginalnej z powodu panującego w niej nieładu, z powodu skoków przez anachronizmy, przez reminiscencye, ku jakiemuś wyzwoleniu w czystym eterze

twórczym, którego niecierpliwy i chory poeta nie dosięga.

Jego indywidualność zawiera się przede wszystkim w obfitości wielkich i niedojrzałych projektów, do których wykonania przystępuje z ogromnym temperamentem, z bezgranicznym zaufaniem w swą moc i nieomylność. Rzadko który poeta przemawia takim tonem despotycznego władcy, tak lekceważy wyszkolonego przecie przez mistrzów polskiego czytelnika, tyle każe sobie wybaczają. Ten ton możnaby nazwać samozwańczym i zuchwałym, gdyby Wyspiański nie był tak bezwiedny, tak szczerze przekonany, że ujęcie lutni, już nie po Bekwarku, lecz po Mickiewiczu i Słowackim, jest zadaniem łatwym i jemu właśnie przyrodzonym.

Mistrz słowa nie powinienby jednak kaleczyć wiersza, drwić sobie z gramatyki, z eufonii, z poetyckiego obrazowania. Reformator dramatu polskiego nie wzmówi w nas chyba, że sztukę teatralną szkicuje zaledwie poeta-malarz pośpiesznym słowem i pełną



Ś. SEBASTYAN (Włas. p. Dolańskiego).  
Z Wyst. starych mistrzów w Krakowie.

SZKOŁA GENUENSKA

miast, w pozorną martwość — jest pomysłem poetyckim odwiecznym. Ale nie możnaby z tego czynić Wyspiańskiemu zarzutu. Dlaczego nie ma stężeń w oczekiwaniu chaty polska? — Od bajek o zaczarowanych królowiach bardzo daleko; trochę już bliżej do „Burzy” Szekspira, której echo znajdujemy w całej kompozycji od chwili, gdy ta chatka — jak tam wyspa — staje się zaczarowaną jakąś sferą, pełną osób realnych odurzonych i fantastycznych „osób dramatu”. Tę paralelę możnaby rozwinąć znacznie szerzej, bez zaszczytnego wyniku dla polskiego dramaturga.

I to jeszcze nic. W „Weselu” usypia symbolicznie cały naród polski... Lecz i o tem coś, gdzieś, bardzo wymownego czytaliśmy:

„Więc się — śpiąc — duchy narodowe wsparły:  
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,  
Trzeci o sztandar oparł się poblady;  
Wszystkie stanęły — ale nie upadły!” i t. d.

Ale to „Król-Duch” Słowackiego (Księga legend — pieśń 2, XXVII i początek pie-



niespodzianek sceneryą, a wykończenie oddaje w ręce reżysera i aktorów. Czyżby udział poety w teatrze ograniczał się do pisania librettów dla widowisk?

Wyspiański jest wyłącznie dramaturgiem. Jego poematy (Bolesław Śmiały, Kazimierz Wielki), o ile nie są dorabianiem „Króla-Ducha” Słowackiego, tęsknią za formą sceniczną. Ale wady Wyspiańskiego, jako poety, są zbyt jaskrawe, aby nie mącić wrażenia nawet najstaranniejszych przedstawień sztuk jego. Teatrowi daje on zbyt rzadko dobry dialog, zwykle zaś tekst luźny, ni to wiersz, ni prozę, zaledwie tu i ówdzie inkrustowany silnym wyrazem lub związaną strofą. Cóż mi z tego, że biegły aktor modulacją głosu, wyrazistością plastyczną urozmaici takie sceny, jak 10-tą 1-go aktu „Wesela”:

*Maryna.* Słucham co to za wymowa!

*Poeta.* Słowa, słowa, słowa, słowa! (Hamlet).

*M.* Ale gdzieś, ale gdzieś!

*P.* Jakaż znów refleksya nowa?

*M.* Pan poeta, pan poeta...

Albo istnym wysiłkiem zdoła aktor uratować od śmieszności rozmowę Wernyhory z Gospodarzem:

*Wernyhora.* Sława, panie Włodzimierzu,  
Zjechałem tu gość.

*Gosp.* Spocznij Wasza Mość;  
żona stroi się w alkierzu.

*Wern.* Ostań, panie Włodzimierzu.

*Gosp.* Żona stroi się w alkierzu.

*Wern.* Niechajże żony w alkierzu,  
niechże tańcuje Wesele,  
Siądź-że, panie Włodzimierzu,  
mam Asaństwu nowin wiele:  
Pomówimy o Przymierzu.

To nie dialog, lecz gawęda, z której dopiero aktor musi stworzyć i charakter Wernyhory i wogóle... jakiś sens artystyczny.

A przytaczam umyślnie próbki stylu z „Wesela”, z uznanego arcydzieła. Z „Legionu”, z „Nocy Listopadowej”, z „Wyzwolenia” dałyby się wybrać ustępy zniechęcające zupełnie do poety, który przemawia tak niedbale i niedosadnie. Nie jest wszelako zamiarem moim pastwić się nad ułomnościami Wyspiańskiego. Bo całość jego twórczości literackiej czyni zeń postać wyrazistą i sympatyczną.

— Duch jego—mówi Anatol—oddaje się nam bezpośrednio w słowie. To nie literat—to tylko duch...

Zdanie to, które włożyłem w usta urojonego krytyka, jest, prawie bez przesady, treścią wielu recenzji i studyów o Wyspiańskim. Jego indywidualność szczerą, niemal naiwną, oddaje się czytelnikowi, czy widzowi bez miary. Nieodłączne dziecko Krakowa,



NAUKA

DELAPLANCHE

gorący Polak, wielbiciel tragedii greckiej, Szekspira, Mickiewicza i Słowackiego, dusza bardzo wrażliwa, w której wielkie pragnienia wlotów walczą z niemocą twórczą, błakają się pośród przygnębiających swym ogromem wzorów dawnych,—Wyspiański daje nam zwykle *in crudo* swój sen o dziele, zamiast dzieła, odstawia z bezwiednym liryzmem swe niegotowe i piętrzące się bez ładu projekty twórcze.

Rzeczywiście „duch jego oddaje się nam bezpośrednio”—ale skądże wniosek, że to „Król-Duch, jakiś absolut myśli polskiej artystycznie wypowiedziany? To tylko jedna dusza, zboląta, gorączkowo senna, rwąca się niekonsekwentnie do wysokich celów, wyrazista dla oceny naszej epoki—nie „wielki rodzic” sztuki, ale brat wielu dusz społecznych. Istotne jego cnoty obywatela, połączone z gorącymi zamiarami pisarza, nowożytność jego stanu duszy—przejmują nas współczuciem i rozrzewnieniem. Tylko że się serca rozdzwoniły w hymn zupełnie bezkrytyczny do naczelnego geniusza narodowego.

Wyspiański, nawet w ciągu krótkiego żywota, gdyby przez ludzi i okoliczności inaczej był wychowany, mógłby może udoskonalić się, zamiast popadać w coraz zgubniejszą manierę i parodyowanie siebie samego. Gdyby mu wczas powiedziano, że „Klątwa” jest jedynym jego dziełem zupełnie zdrowo urodzonym, że opanował tu i połączył dwa swoje stałe porywy: wskrzeszenie tragedii greckiej i wydobywanie z surowej, choć rodzajnej bryły chłopca polskiego postaci ogólnoludzkiej—może... możeby nie

pozwoił sobie na puszczenie w świat tych dziwadeł baroku i konfuzji twórczej, jakimi są „Legion” albo „Wyzwolenie”.

Ale witano w Krakowie bezwarunkowym uwielbieniem wszystko, co wyszło z pod pióra nowego mistrza. Od wiosny 1901 r., od przedstawienia „Wesela” wynaleźli zapaleńcy w osobie Wyspiańskiego absolut myśli poetyckiej polskiej.

Przyplątały się i okoliczności koteryjne, sprzyjające wyniesieniu Wyspiańskiego na „wirchy” poezji. Najlepsze jego dzieło — „Klątwa” — nie wiem dlaczego nie chrześcijańskie? obrażające chyba księży, którzyby pragnęli zachować przy sobie młode gospodynie? — wywołało niechęć koteryj ultraklerykalnej, gospodarującej wówczas, jak i dzisiaj, na Wawelu, spowodowało podobno odrzucenie pięknych projektów Wyspiańskiego na witraże do katedry. Przy tej okazji ujęła się za malarzem, a przez odbitkę i za poetą, partya liberalna, która w tym wypadku miała słuszość. I zyskał sobie Wyspiański nowe sympatyje ludzi nowych, nawet Żydów, przez tę chwilową rozterkę z klerykałami.

Charakterystyczne jest wszelako, że nie „Klątwa” wyniosła

Wyspiańskiego na szczyt sławy, lecz dużo ułomniejsze „Wesele”, a następnie, już w pogrobowych apoteozach, zgoła chore utwory, jak „Legion”, „Noc Listopadowa” i „Wyzwolenie”.

Niepomierna i uparta chwalba Wyspiańskiego przyczyniła wiele szkody, jemu samemu za życia, a dotychczas jeszcze przyczynia się do mącenia pojęć o sztuce i o pięknie. A także równanie go do najszczytniejszych wież myśli polskiej obraża poprostu dumę narodową. Chybaby zburzyć lub poniżyć wszystkie szczyty naszej poezji, aby je wtłoczyć pod strychulec tak problematyczny, jak twórczość Wyspiańskiego?

Dlatego też postawienie krakowskiego poety na właściwym mu miejscu jest zadaniem nie zdrożnym, wpływającym owszem ze czci i umiłowania całego przybytku sztuki i kultury polskiej.

## Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW.

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

### STANCE.

JAN MORÉAS.

Samotny, zadumany pójde przez gościńce  
Pod bezupalnem niebem, które smęt już iści...  
I z rozkochanem sercem wezmę w obie ręce  
Podjętą z pod wierzb drożnych garść jesiennych  
liści.

I będę słuchał ptaków, co krąg w wietrze wiodą,  
Krzyżące w nadchodzącej już nocy żałobie...  
I gdzieś na żółtkiej łące, ponad smutną wodą  
Będę długo rozmyślał o życiu i grobie.

Mroźny wiatr strzyma orszak obłoków najbladszy  
I zachód zemrze cicho we mgłę tajemniczej,—  
A ja, znużon pielgrzymstwem, gdzieś u kresu siadłszy  
Spokojny już,—przełamię chleb mój... chleb goryczy.



WIKTOR GOMULICKI:

## DZIELNICE WARSZAWY.

### III. „Kuryer Warszawski”.—„Stępek”.—Brajbisz.—Barbarossa.—„Andzia”.

Próbowałem kiedyś—bardzo już dawno—nakreślić anatomię naszego miasta. Plac Teatralny wyobrażał w niej serce Warszawy. Nie umiałbym dziś powiedzieć, jaką drogą do owej definicji doszedłem—prawdopodobnie doprowadziła mnie do niej myśl o mieszczących się na tym placu dwóch teatrów i redakcji *Kuryera Warszawskiego*. Teatr i *Kuryer*ek najżywiej pono w owym czasie zajmowały moich współobywateli.

Z równą jednak słusnością mogłem być nazywać tę dzielnicę „żołądkiem Warszawy”, tu bowiem mieściły się trzy najpopularniejsze jadalnie warszawskie: „Andzia”, Brajbisz i Stępkowski *vel* „Stępek”. Mówiąc o Placu Teatralnym, o nich wszystkich wspomnieć wypada—najpierw jednak słów kilkoro o *Kuryerze*.

*Kuryerowi* Brunona Kicińskiego zabłysło światło dzienne gdzieindziej, ale *Kuryer* Ludwika Dmuszewskiego i Wacława Szymanowskiego, ten *Kuryer*, z którym Warszawa żyła się jak z przyjacielem i bratem, narodził się tu, w małym, jednopiętrowym domku, zajmującym jeden z boków dziedzińca wielkiej kamienicy, którą niegdyś Dmuszewski wygrał na loteryi, a którą później od jego spadkobierców nabył Stępkowski i... doszczętnie na tej imprezie zbankrutował.

O *Kuryerze*, który „robił się” w dwóch ciasnych, zawsze zatłoczonych pokoikach, wśród gwaru, śmiechu, żartów, figlów, improwizacji poetyckich i popisów wokalnych—a robił się zawsze wzorowo, kładąc podwaliny do swego dzisiejszego położenia—napisać mógłbym dziesięć takich szkiców, jak niniejszy.

Nie wiem, czy to był cud dwudziestu lat, rzucających blaski słoneczne na wszystko, ale ówczesna redakcja *Kuryera Warszawskiego*, z „panem Wacławem” lub wprost „Wackiem” na czele, zdawała mi się ideałem nie tylko dziennika, lecz wogóle konfraterni literackiej. Jedno tylko stosunkom owym zarzuce: było tam zbyt wesoło, zbyt dobrze, zbyt miękko, co młodego chłopca, wstępującego dopiero w życie, mogło być łatwo rozhartować, wykoleić i—zgubić.

Cisną mi się pod pióro profile, sylwety i całe wizerunki mnóstwa ciekawych osobistości, które się przez owe dwa małe pokoiki przesunęły... Zamiast nich, mogę tylko podać spis pobieżny ówczesnych współpracowników *Kuryera*. Byli nimi: współredaktor, współwydawca i najświetniejszy we wszystkich działach kollaborator, Miron; referent działu politycznego Stanisław Krzemiński; krytyk teatralny Władysław Bogusławski; krytyk literacki i sprawozdawca odczytowy Kazimierz Łuniewski; referent działu „z Cesarstwa”, Kazimierz Łuniewski; główni reporterzy: Julian Heppen i Feliks Fryze; nadworni szaradziści: J. A. Zygmunt i Aron Tenenbaum; korektorzy: Julian Miłkowski i Aleksander Walicki (ostatni był także sprawozdawcą muzycznym); współpracownicy do wszystkiego: Ignacy Chodorowicz, Jan Gautier i t. d. Niebawem powiększyli to grono: Prus, jako nieprzeplacony „kronikarz tygodniowy”, Czapel-ski, którego młodzieńcza werwa zelektryzowała pismo, przyczyniając się do jego wzrostu, Gawalewicz, który umiał o wszystkim pisać gładko i sympatycznie.

Przeniesiono następnie redakcję do innego w tymże domu mieszkania. Straciła tam ona całkowicie swój dawny charakter. Na nowym miejscu były wspaniałe salony redakcyjne, był cały sztab reporterów, byli coraz liczniejsi abonenci, coraz tłumniejsi „interesanci”—ale nie było już, niestety, „pana Wacława”...

U „Stępki”, mieszczącego się w tym samym domu co *Kuryer*, jadał i pili wielcy panowie i wielcy smakosze. Spiewano w jakiejś starej krotchwili: „Indyk z sosem, barszcz z bigosem, jadły dawne pany; a dziś—raki i ślimaki, cukry i szampany”. Stępek był jakby syntezą tych dwóch żołądkowych systemów: łączył tradycję z postępem. Obok raków, ślimaków, cukrów i szampana był tam zawsze indyk, barszcz i bigos—wszystko w gatunku wybornym, a po cenie magnackiej. Niemal wszystkie okazałe brzuchy, jakimi szczyli się dziś starsze pokolenie finansyery i arystokracji warszawskiej, wyhodowały się na placu Teatralnym.

W życiu Stępkowskiego kryła się cicha, niewidoczna tragedia. Był to Petroniusz—bo miał zawsze dla swych gości stoły nakryte, i był Lu-kullus—gdyż najwykwintniejszym zastawiał je jadłem; był to zarazem filantrop—karmił bowiem darmo arystokrację, która jadła na kredyt i długów swych nie płaciła, i był wreszcie Tantal—gdyż, dotknięty ciężkim cierpieniem żołądkowym, jadał tylko kleiki, pijał wodę mineralną, patrząc z daremną oskomą na wszelkie, krajowe i zamorskie przysmaki, które jego zakład przepelniały.

Inny charakter miała oboczna jadalnia Brajbisza, którego nazywano „Brajbą”, „Barabaszem”, albo, z powodu szerokiej, rudej brody, „Barbarossą”. To był zakład dla średniaków. U Brajby pożywała się młodzież, poprzestając często na sztuce mięsa (z gratisowym dodatkiem bochenka chleba i słoika musztardy), a także starzy bogaci, lecz liczący się z groszem radcowie. Dla ostatnich znalazła się zawsze sezonowa nowalijka: raki nadziewane, poziomki ze śmietaną, młoda kaczka i t. p.

Tu widywałem Szabrańskiego, niegdyś redaktora *Biblioteki Warszawskiej*, małego, zatabaczonego, szepleniącego staruszka, który dziewczętom usługującym deklamował płomiennie wiersze Szyl-lera i szczypał je w policzki. Tu wyniosły radca Korytkowski, „referendarz”, chadzający zimą i latem w długim czarnym płaszczu o licznych pelerinach—podbitym, jak mówiono, listami zastawnymi—wtykał mi przez ramię swój długi nos w talerz z zupą, mówiąc tonem rozczarowania:

— Cóż to? pomidorowa?..

A gdym obruszał się na to natręctwo, zamykał mi usta argumentem.

— Przepraszam cię, kawalerze; myślałem, że czarnina...

Licznie uczęszczali tu literaci, dziennikarze i artyści, zarówno młódź, jak starszyzna.

Charakter wytworniejszy miała trzecia z rzędu jadalnia, którą zwano powszechnie „u Andzi”. Trzymająca ją osoba była niegdyś rzeczywiście Andzią *tout court*, dostała jednak następnie nazwisko Czuleńskiej, od męża, urzędnika, posiadacza najdłuższego nosa w Warszawie i okolicy.

Tu poważniejsi literaci mieli wprawdzie swój stół i korzystali z pewnych przywilejów, szczupłe wszakże ich grono niknęło w tłumie zwykłych gości, których część znaczną tworzyli przyjezdni. I u Andzi usługa była żeńska, a „panienki”, faworyzowane przez podtatusiałych, piędziennych radców, stroiły się i nosków zadzierały. Niektóre miały poważne oszczędności złożone w banku. Rozgłos większy zdobyły sobie dwie: jedna, która swoim kosztem pewnego biednego akademika wypromowała na lekarza, i druga, którą, z ukrytą intencją, nazywano „Gucią”, choć w rzeczywistości inne imię nosiła...

„Honory domu” czynił tu przez długie lata były tenor liryczny opery warszawskiej, z córką „Andzi” ożeniony.

### IV. Kanoniczki.—Ratusz.—Pałac Blanka.—Dom Petyskusa.

Obejrzelismy trzy boki Placu Teatralnego. Pozostaje do obejrzenia bok czwarty.

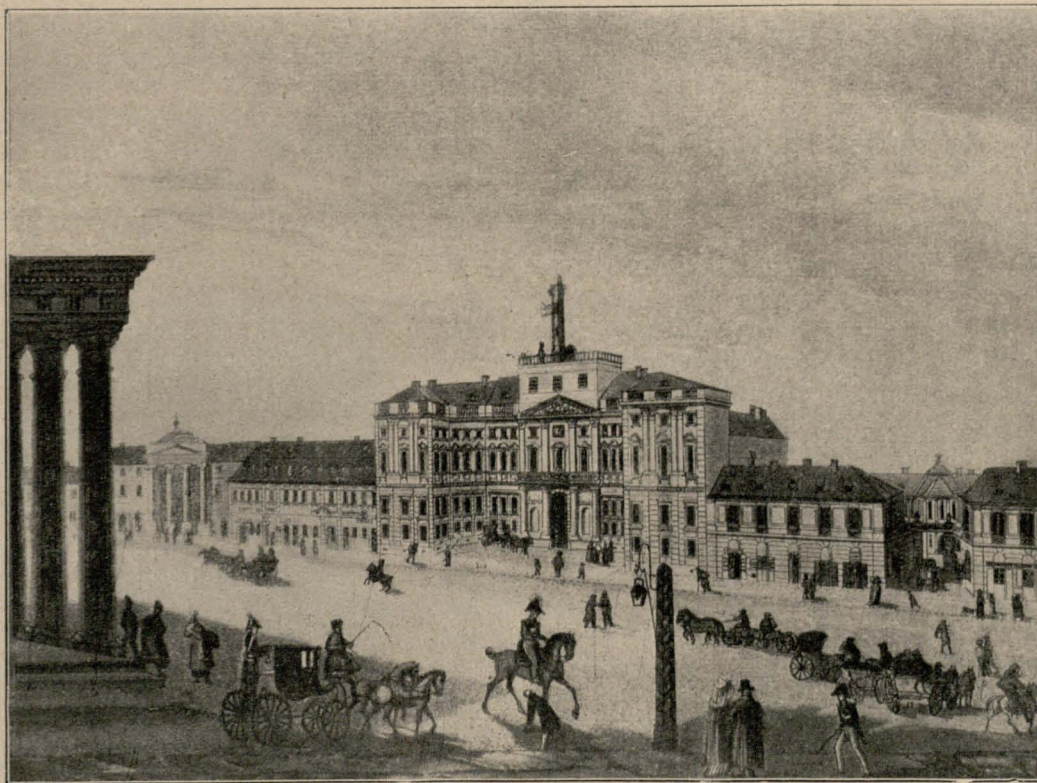
Na tym ostatnim boku widzimy: kościółek Panien Kanoniczek, Ratusz i dawny pałac Blanka. Kanoniczki, jak już wspomniałem, mieściły się pierwotnie w Marywilu. Nie mogły tam mieć ani wygody, ani spokoju. Co prawda, same przyczyniały sobie kłopotów, zajmując się wynajmem sklepów, a nawet mając u siebie coś w rodzaju „pokojów umeblowanych”.

Na nową siedzibę przeniosły się w roku 1819. Oddano na ich użytek odpowiednio przerobiony kościółek św. Andrzeja, który i dotąd prawie wyłącznie im służy. Rzadko ten kościółek bywa otwierany dla publiczności, a jego zwykle zamknięta, i jeszcze krata osłonięna brama, w tak ruchliwym punkcie miasta, tchnie dziwnym smutkiem i jakby protestem.

Ratusz istnieje w tym miejscu od roku 1817. Urządzono go tu po zburzeniu w Rynku Staromiejskim przestarzej, czcigodnej siedziby burmistrzów, rajców i ławników *Antiquae Civitatis Varsoviensis*.

Obecny swój kształt posiada Ratusz od r. 1851, w którym uległ strasznemu pożarowi. Przez trzy dni i trzy noce gorzał wówczas ten gmach wielki, od środka podpalony; przez trzy dni i trzy noce stała nad nim i nad całą Warszawą olbrzymia chmura, o zmroku łuną purpurową oblana. Widziałem ów pożar jako chłopię małe, chwilowo w Warszawie bawiące, widziałem go zdala, wojsko bowiem ze wszech stron broniło przystępu do Placu Teatralnego. Były to trzy doby ciężkiej, dławiącej grozy; i był to obraz Dantejski, zdolny nazawsze czuć duszę dziecka zamroczyć...

Fryderyk Dietrich, na jednym ze swych nieprzeplaconych widoków Warszawy, przedstawił Ratusz w tym kształcie, jaki miał pierwotnie, przed rokiem



WIDOK PLACU PRZED MARYWILEM I GŁÓWNEGO RATUSZA W WARSZAWIE

Rys. i ryt. F. DIETRICH



nie tylko 1861, lecz i 1830. Później po kilka razy częściowo go przerabiano. Szkoda, że nie dochował się widok pałacu Pruszków (przedtem książąt Jabłonowskich), którego Ratusz pierwotny był tylko przebudową.

Pałac Blanka, skromny, w głębię dziedzińca wsunięty, jest przecie miłą pamiątką wieku XVIII, z którą Warszawa rozstawać się nie powinna. Wystawił go Piotr Blank, bankier warszawski, który, za Stanisława Augusta, wraz z Kabrytem, Łyszkiewiczem, Tepperem i Protym Potockim, padł ofiarą „krachu” polityczno-finansowego. O przedsiębiorczości Blanka świadczy, że w swym pałacu urządził drukarnię, która nazywała się „drukarnią Komisji Skarbowej”. Posiadłość upadłego bankiera przechodziła następnie przez ręce Kempieńskich, Budziszewskich, Szepietowskich i t. d., aż stała się w końcu własnością miasta. Około r. 1832 mieścił się tu *hôtel d'Europe*; później nieco Komisya Kwaternicza.

Powracam jeszcze do boku między Niecałą a Senatorską, aby wspomnieć o wielkiej narożnej posiadłości, zwanej przez czas długi „domem Petyskusa”. Jeszcze przed dziewięćdziesięciu laty był tu mur ogrodu klasztorowego ojców Reformatów. Ciągnął się ten mur i dalej, aż do dzisiejszej Niecałej, co daje pojęcie o obszarach, zajmowanych przez zakonników.

Około r. 1820 część ogrodów klasztorowych przeszła w ręce prywatne, i wówczas wzniosły się na niej domy: Dmuszewskiego (później Stępkowskiego) i Petyskusa (dziś Neprosa). Ostatni był tak okazały, że go w taryfach nazywano „pałacem”.

Tu, w lokalu narożnym, na dole i na pierwszym piętrze, tuż pod datą erekcyjną domu, mieściła się przez długie lata cukiernia dobrze znana starszemu i średniemu pokoleniu Warszawy. Trzymali ją kolejno sami Włosi, czy też Szwajcarzy z nazwiskami włoskimi: Paravicini, Ferrari, Vincenti, z których to nazwisk (dodając do nich jeszcze Semadeniego) układali żartownisie teksty do włoskich ary operowych.

#### V. Dziś.

Dziś Plac Teatralny posiada barwę mieszaną magistracko-teatralno-policyjną. Dwa potężne gmachy, z których jeden jest przybytkiem muz, drugi—gospodarstwa miejskiego i policyi, patrzą na siebie nieufnie, przedzielone małą przestrzenią miejsca, lecz wielką—idei. Mieszają się zresztą niekiedy te idee ze sobą, a wówczas komedye i dramaty przenoszą się z jednej strony placu na drugą, ustępując miejsca protokołom śledczym i biurokratyzmowi.

Na ogół, dzisiejszy Plac Teatralny, ozdobiony dużym zieleniem, rozdzwoniony sygnałami tramwajowymi, roziskrzony światłem elektrycznym, pełen ruchu w godzinach przed-teatralnych i po-teatralnych, gromadzący latem, pod werandą Semadeniego najwykwintniejszych kawopijów i lodożerców, należy do najruchliwszych dzielnic Warszawy.

Co przyszłość mu niesie?

Wróżka z Zapiecka twierdzi, że kiedyś, na wysokim pomoście, łączącym szczyty teatralne z ratuszowymi, wzniesie się główna stacya warszawskich... aeroplanów elektrycznych.

A poniżej?

Poniżej będzie monstrualny bioskop elektryczny, obywatelający się zgoła bez ludzi żywych, z wyjątkiem elektrotechnika i jego pomocników.

Jedna tylko policya na miejscu swem przetrwa, ona bowiem należy do rzeczy, których „nie spali ogień, nie zabierze woda”.

BOLESŁAW PRUS:

## Szkoła Ochroniarek.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Od ćwierci wieku, jeżeli nie dawniej, społeczeństwo nasze cierpi na brak wychowania, na „głód wychowania”, który objawia się w mnóstwie form i jest źródłem niezliczonych przykrości, przeszkód, nawet występków. Na brak wychowania chory jest młodzieniec, który nikomu nie ustępuje na ulicy, albo wchodzi w kapeluszu tam, gdzie wszyscy siedzą z odkrytymi głowami; chorą jest i ta dama, która bez ceremonii zrywa cudze kwiaty, nie zamyka drzwi za sobą, albo—siada w wagonie na miejscu już przez kogoś zajętem. Na brak wychowania cierpi dwunastolatek, który wprowadzie ma wstręt do wody i mydła, ale za to namiętnie pali papierosy, i ten człowiek dojrzały, który połowę nocy przepędza w kabaletach, i dziennikarz, który, polemizując, posługuje się wymysłami albo kłamstwem, i ten wieszcz, który w niezrozumiałych wierszach wygłasza nieciekawe dzieje swego, mało zajmującego, serca. A już bodaj że nie potrzeba wspominać, jak źle wychowanymi są te wyrostki, które przechodniom wydzierają pieniądze, albo ci synowie gospodarscy, którzy na publicznych drogach rabują przejeżdżających kupców.

Krótko mówiąc, brak wychowania zatruwa dusze jednostkom, do stosunków międzyludzkich wprowadza zatargi i nienawiść a w rezultacie—rozrywa wszelkie węzły społeczne i osłabia siły narodu.

Lecz cóż to jest wychowanie? W mowie hodowców jest to—tresura, w języku psychologów jest to—zaszczepianie w duszy ludzkiej pewnych nałogów i zwyczajów, korzystnych dla jednostek i dla ogółu. Wychowanie przyzwyczajają do czystości, do pracy w jednych a wypoczynku w innych godzinach doby. Wychowanie stwarza nałóg badania nieznanych przedmiotów wszystkimi zmysłami, ćwiczy w logicznym myśleniu i krytycznym przyjmowaniu napływających wiadomości. Wychowanie zaprawia nas do poszanowania cudzej własności i osoby, do uprzejmego traktowania bliźnich, a nareszcie—co najważniejsze—do kierowania się w życiu nie kaprysami, nie przemijającymi wrażeniami, ale—ideałami, które ludzkość od wieków uznała za najwyższe. Z rudy, zwanej życiem codziennem, wychowanie dobywa żelazo charakteru i niekiedy przetapia je na stal bohaterstwa.

Otóż, strach przyznać i wstyd powiedzieć, że nasz „inteligentny” ogół—prawie wcale nie zajmuje się olbrzymią, podstawową kwestyą wychowania, od której zależy przyszłość narodów. Piszemy, mówimy, rozmyślamy o teatrach, koncertach, wystawach, literaturze „pięknej” i t. p. Znamy nazwiska poetów, aktorów, tenorów, ale—szkoły i ochrony zbywamy krótką wzmianką, „sympatyzujemy” z uczącą się młodzieżą, a już wcale nie znamy nie tylko życia i prac, ale choćby nazwisk najlepszych, najzasłużeńszych nauczycieli i wychowawców. Wobec najskromniejszego profesora śpiewu czy fortepianu idą w ką

najznakomitsi profesorowie matematyki, nauk przyrodniczych, historii, filozofii...

Może się to i zmieni kiedyś; może nawet *Tygodnikowi Ilustrowanemu* uda się zrobić początek w rozszerzeniu publicznych upodobań. Spróbować nie zawadzi. Więc na pierwszy raz opowiemy o *Szkole Ochroniarek*, stworzonej i prowadzonej przez p. Stefanię Marciszewską (Mokotowska 55).

Zakład ten wychowawczy, oddzielony jest od ulicy wysokim parkanem, poza którym znajduje się niewielki ogródek, w nim kilka zagonków uprawianych przez dzieci, trochę kwiatów, parę drzew i wielka hala, gdzie na wypadek niepogody bawią się dzieci. Na końcu ogródka wznosi się kamienica, w której mieści się: właściwa Szkoła Ochroniarek p. Marciszewskiej, tudzież—uzupełnienia jej, czyli: ochrona i szkoła elementarna, należące do Warszawy T-wa Dobroczyńności, a wspierane przez niewielkie grono dobroczyńców.

Zakłady te widziałem kilka razy. Zastanowiły mnie w nich (i nie tylko mnie, ale każdego zwiedzającego) dwie cechy: obfitość, poprostu—powódź światła i—holenderska czystość. Sale wykładowe, sypialnie, kancelarya, biblioteka, kuchnia, jadalnia, umywalnia, schody, korytarzyki, słowem wszystko odznacza się nieskazitelną czystością jasnych ścian i podłóg nie malowanych, lecz mytych... Tu niema kątów, niema zakamarków, wszędzie widno i schludnie, wszędzie ład, przy skromnem umeblowaniu.

Z samą p. Marciszewską miałem przyjemność rozmawiać też niejednokrotnie; przypatrzyłem się jej dziełu i z uwagą czytałem jej książki poświęcone wychowaniu (Radę i wskazówki dla kierujących ochronami,—Uczelnia ochroniarek i nauczycielek ludowych, tudzież rękopis o Wychowaniu moralnem). Szanowna wychowawczyni robi dziwnie przyjemne wrażenie, jak każda osoba, w której energia kojarzy się z łagodnością, rozum z pogodnym usposobieniem, wytrwałość i konsekwencja z dobrocią. A oto niektóre jej poglądy:

„*Dziecko to mały, lecz cały człowiek: w jego młodej duszy zamknięte są wszystkie uczucia, wszystkie struny istoty ludzkiej. Stosownie do tego, które z nich życie porusza najczęściej, struny te wyrabiają się i brzmią głośniejsz od innych. Dziecko—to istota chciwa wrażeń, ruchliwa, ciekawa; istota potrzebująca miłości, tkliwości, potrzebująca gorliwej i bardzo rozumnej opieki.*”

*Szkoła ochroniarek* powinna w swych wychowankach ugruntować idee społeczne narodu, ducha ofiary i poświęcenia; musi je nau-



Uczennice odpoczywają po pracy.



czyć czytać w duszy ludu, któremu mają przewodniczyć... Zaś *kierowniczką szkoły* powinna znać do gruntu swoje wychowanki, stać się dla nich nie tylko nauczycielką, ale siostrą, doradczynią, przyjaciółką, kierowniczką, a nadewszystko—wzorem pracy dla ludu i nad ludem”.

Parę tych cytat z dzieł p. Marciszewskiej dostatecznie charakteryzują ich autorkę. To więc, co taka osoba powie o sprawach wychowawczych, musi zasługiwać na uwagę.

Przedewszystkiem p. Marciszewska — nie zachwyca się większością ochron dzisiejszych. Zarzuca im brak ruchu dla dzieci, którego nie zastąpi bezładna—niby gimnastyka. Dalej—oskarża je o zbyt surowość, o odkuwanie suchych definicji, zamiast rozwijania myśli, wreszcie — o nieznaną celność. Jedni bowiem widzą w nich miejsca dozoru nad dziećmi, inni—nauczenie rzemiosł, inni traktują je jak szkołę, a jeszcze inni — „uważając religię za jedyny środek umoralnienia, chcą nauczyć w ochronie religii i tylko religii. Więc powołują na stanowisko jakąś pobożną dozorczyńnię, która po całych dniach prawi dzieciom morały, uczy religii godzinami, przeplata pobożnymi ćwiczeniami”.

W słowach tych, zdaje się, dosyć jasno scharakteryzowała autorka szkodliwość w ochronkach bezmyślnej bigoteryi, która ogłupiałaby dzieci, gdyby ich pierwej nie znudziła.

Jakiemż więc, podług p. Marciszewskiej, winny być ochrony, jakim początkowe wychowanie?

Zacznijmy od wychowawcy czy wychowawczynie. Przedewszystkiem winien on być „człowiekiem z zasadą chrześcijańską — chryścianizmem bowiem w osobie Chrystusa daje wzór najdoskonalszy, ideał najwznioślejszy, do którego dążyć powinny jednostki, narody i ludzkość”. Dalej—ma być rozsądnym, gdyż bez tej zalety—„najobszerniejsza wiedza i najlepsza wola nic nie zbudują”. Następny przymiot wychowawcy to „miłość i wyrozumiałość dla dzieci; miłość wyższa, która nie powoduje się sympatją dla jednego z dzieci, ale kocha wszystkie, jak dobra matka... Dzieci potrzebują miłości, jak kwiat słońca; dziecko, pozbawione serca, staje się często bez serca, robi się obojętne, zamknięte, ponure... Gdybyśmy surowość, stosowaną do dzieci, szczególnie w ochronach, zwrócili do siebie, o jakże czuliśmy się skrzepowani i nieszczęśliwi!”...

Innemi, nie mniej cennymi, zaletami wychowawcy są: łagodność połączona ze stanowczością, tudzież wesołość i pogoda. Zaprawdę!... przysionkiem rajy byłaby szkoła czy ochrona, którą tacy kierowałiby wychowawcy...

Na moje pytanie: co sądzi o dzieciach wogóle? pani Marciszewska odpowiedziała:

— Dzieci to wosk, któremu każdą formę można nadać...

Poznaliśmy wychowawców, to jest—rzeźbiarzy, i poznaliśmy dzieci, ten materiał, z którego mają być ukształtowani przyszli obywatele. Cóż tedy z dzieckiem ma czynić wychowawca, w jaki sposób i w jakim kierunku urabiać je? Sposobić na pracownika czy myśliciela, zachęcać do walki o byt, czy do ule-



Jak się dzieci bawią w szkole ochroniarek.

gania wszystkiemu i wszystkim? Uczyć je historii czy nauk przyrodniczych?...

Na to odpowiada p. Marciszewska, jak zresztą każdy rozumny pedagog, że — wychowawca musi przyczynić się do rozwoju: ciała, umysłu, uczuć i woli swego wychowanka. Innemi słowy: dobre wychowanie składa się jakby z trzech gałęzi, nierozdzielnie spojonych ze sobą: wychowania fizycznego, umysłowego i moralnego.

„Zadaniem wychowania fizycznego jest czuwanie nad dzieckiem i dokładanie wszelkich starań, iżby dziecko cieszyło się czystym zdrowiem i kształtnym ciałem”. W tej zatem sferze zwracać trzeba pilną uwagę na pożywienie dziecka, jego sen, odzież, świeże powietrze, temperaturę mieszkania i ochrony, na ruch i zabawy, wśród których gra w piłkę powinna zajmować pierwsze miejsce. Dalej—trzeba pilnować czystości czyli myć dziecko i kąpać, wreszcie czuwać nad jego wzrokiem, słuchem, powonieniem, jamą ustną i zmysłem dotyku. „Bardzo szkodliwym i nieuczciwym jest dawanie tak zwanych w ochronkach—łap!” — ostrzega autorka. Trzeba też zwracać uwagę na sposób siedzenia dziecka, bardzo wystrzegać się nadmiernej pracy umysłowej, unikać kar, nie wyłączając kłeczenia, a nareszcie — trzeba przyzwyczajając dziecko — „do czuwania nad sobą; łatwiej mu będzie potem czuwać nad drugimi i łatwiej zrozumie zasadę, że — jak mówi Spencer—poszanowanie zdrowia należy do naszych obowiązków”.

Celem wychowania umysłowego jest rozbudzić i kształcić takie zdolności, jak: obserwacja, pamięć, wyobraźnia, rozumowanie i t. d. Trzeba jednak pamiętać, że, gdy wychowanie szkolne stara się „udzielać młodym umysłom wiedzy teoretycznej”, to w epoce przedszkolnej, w ochronce, do której dziecko uczęszcza przed ósmym rokiem życia, powinno się przede wszystkim dbać tylko o „rozbudzenie władz umysłowych”. Przy czem pamiętajmy, że — „włączanie do słabego umysłu dziecka wiadomości, na które czas jeszcze nie przyszedł, przedwczesne nauczanie, zmęczy je, znudzi i wyczerpie, zanim przyjdzie właściwa pora nauki”.

Do 4 i pół lat, a nawet dłużej, dziecko powinno się bawić: piłką, lalką, klockiem, wózkiem, piaskiem i—najprostszymi pogadankami, które je uczyć mówić... Zajęcia dzieci 5—8 lat już należy ująć w pewien porządek. „Tu można zacząć systematyczne pogadanki, obznaj-

miające dzieci ze światem, który je otacza, ale — wystrzegać się choćby najmniejszego przeciężnienia umysłu”.

Nie mogę powtarzać wszystkich uwag autorki, ograniczę się do zacytowania jednej: „Wychowawca dobrze pamiętać powinien główną zasadę metody nauczania i tej zawsze się trzymać: należy przechodzić stopniowo od bliższego do dalszego, od prostego do złożonego, od łatwego do trudniejszego, od znanego do nieznanego, od tego, co dzieci zmysłami ogarnąć są zdolne, do abstrakcji”. Pogadanki przyrodnicze i przemysłowe, historyczne i geograficzne, arytmetyka i rysunek, nauka czytania i pisanie, a nawet gry i roboty ręczne będą tylko urzeczywistnieniem, wcielaniem, powyżej wymienionych zasad, zarówno logicznych, jak

i pedagogicznych. (Rady i wskazówki dla kierujących ochronami p. Stefanię Marciszewską, Warszawa—1907).

Wszystko to jest bardzo dobre, ale... jaki to ma cel? Po co dziecko uczy się obserwować, pamiętać, wyobrażać sobie; na co czytanie, pisanie, rachunki i rysunki; na co geografia i nauki przyrodnicze?... Na to odpowiada wychowanie moralne: —ażebyś ty, dziecko Boże, we własnym życiu odtworzyło twego Ojca, Boga... A czemże jest Bóg? Bóg jest najwyższym Ideałem, jest najwyższym Pięknem, Prawdą i Dobrem; wychowanie zatem moralne ma do tego pomódz dziecku, ażeby, w miarę sił i rozumu, urzeczywistniało w życiu Piękno, Prawdę i Dobro czyli—spełniało służbę bożą.

Tym sposobem wychowanie moralne staje się niby sklepieniem całokształtu wychowania, którego ścianami jest — wychowanie fizyczne i umysłowe... Zaś kluczem owego sklepienia—ideał Boga, czyli—Prawdy, Piękna i Dobra.

Usiłowałam nie tyle streścić, gdyż jest to niemożliwe, w kilkuset wierszach, ile raczej—przedstawić najważniejsze, zasadnicze punkta systemu pedagogiki, który wyznaje i apostołuje p. Marciszewska. Ale—jakże ona to wykonywa w praktyce? O tem mogą sądzić jej wychowanki, rodzice dzieci uczęszczających do ochronki i szkoły, wreszcie te osoby, które miały możność bliżej poznać pracę uczennic p. Marciszewskiej. Ja tyle powiem, że widziałem wielki porządek w Zakładach; przyszłe ochroniarki i nauczycielki poważne i pogodne; dzieci—czyste, wesołe i ufne.

Trzeba dodać, że, pomimo bardzo skromnych wymagań kierowniczką szkoły, nauczycielki, nauczycielek i uczennic, p. Marciszewska może nie dałaby sobie radę z materialną stroną swoich instytucji, gdyby nie pomoc szczupłego zresztą kółka szlacheckich ofiarodawców. Wprawdzie Szkoła ochroniarek utrzymuje się z wpisów, ale do ochronki i do szkoły elementarnej trzeba dokładać, co też czynią, w ciszy i bez rozgłosu, hr. Adamowa Krasieńska, p. Marya Boniecka i jej rodzina, ks. Maciej Radziwiłł, rodzina Rotwandów, mecenas Budny, rodzina Przeździeckich, rodzina Goldszandów, p. Michałowa Sobańska. Niemal ofiar dla dzieci składał w swoim czasie ś. p. Ludwik Górski.

Ostatnia kwestya: na co się to wszystko zdało?... Co znaczy kilkadziesiąt dobrze wychowanych ochroniarek tam, gdzie setki tysięcy



dzieci potrzebują wychowania? Co znaczy parę lat pobytu we wzorowej ochronce czy szkółce, jeżeli wychowawiec tej instytucji, opuściwszy ją, odrazu wpada w morze ciemnoty i demoralizacji?...

Prawda, że warunki naszego bytu społecznego są okropne; ale nawet w najgorszych—praca uczciwa i rozumna musi wydać owoce. Jeżeli tygrysa, lwa, białego niedźwiedzia jednakże tresuje się tak, że spełniają czynności nawet z ich naturą niezgodne, to czy można przypuścić, ażeby praca wychowawcza nie uszlachetniła dziecka ludu, które z natury swej jest dobrem i tylko potrzebuje odpowiednich wskazówek i kierunku? A jeżeli w społeczeństwie nawet złe przykłady, nawet występki znajduje naśladowców, dlaczegoż cnoty, zasiane w sercu dziecka, nie miałyby w jego przyszłym otoczeniu znaleźć oddźwięku? Moim zdaniem, rola „wychowanego” człowieka nie kończy się na nim samym, gdyż on, niby pochodnia, w dużym kręgu rozświetla otaczające go mroki. Człowiek uczciwie i rozumnie wychowany zaletami swymi rozbudza, zapala dziesięciu, może stu innych; przeciętna bowiem dusza ludzka chętniej skłania się do Dobra, Prawdy i Piękna, aniżeli do krzywdy, potworności i fałszu.

## ZYGMUNT NOSKOWSKI.

Niezasobnej muzyce polskiej ubył nieposzedni talent kompozytorski, rdzennie polski, mocny, krzepki, rozporządzający rozległą wiedzą techniczną, fachową, idącą w parze z niestrudzoną pracowitością i niepożyтым temperamentem.

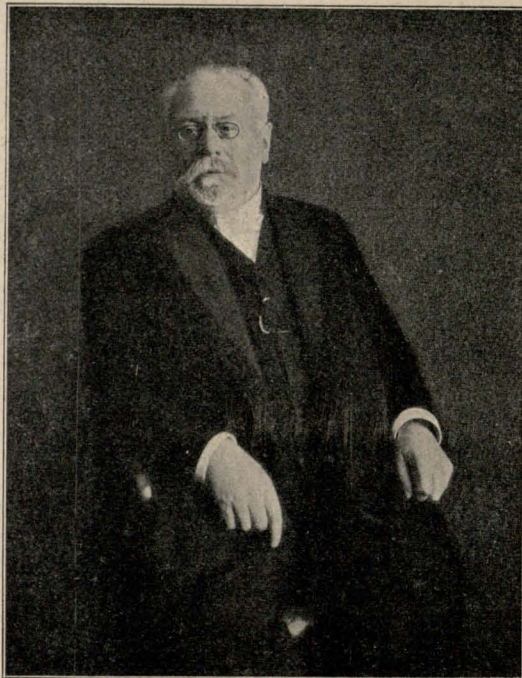
Umarł Zygmunt Noskowski, tu w rodzinnym mieście swoim, w 63 roku życia.

Muzyka była dla Noskowskiego nie rozkoszą sybarycką, nie wirtuozostwem artystycznym, nie marzycielstwem — lecz czynem. Wypowiadał się i działał muzyką. Uważał ją wręcz za czynnik społeczny, życiowy, a przede wszystkim — narodowy. Kochał gorąco, namiętnie, z wielką uczuciem prostotą — ojczyznę. I mniej było w Noskowskim kapłana sztuki, niż obywatela, oddającego talent swój, a przezeń i życie własne, narodowi swemu.

Polskość nie elegijna lub rozpaczająca, lecz dzielna, odważna, triumfująca, po męsku umiłowana, nadaje zasadniczy charakter wszystkim utworom muzycznym Noskowskiego. Wielką wrażliwość na melodye ludowe swoje odczuwa się w nich wszędzie, a bez zbytej śmiałości wolno twierdzić, że najznamienniejszymi dla twórczości muzycznej Noskowskiego są fortepianowe krakowiaki, polonezy i mazury, gdzie pławi się bezpośrednio a z lubością w rytmice rdzennie polskiej, najdokładniej interpretującej duchową organizację kompozytora. Lot też najswobodniejszy i najsamodzielniejszy ma natchnienie Noskowskiego w obrazach fantastycznych „Z życia narodu polskiego”, w uwerturze „Morskie Oko”, w uwitej z tematów zakopiańskich ludowych „Fantazyi góralskiej”, w symfonicznym poemacie „Step”.

W pieśni, którą wszechstronny niezmiernie Noskowski uprawiał narówni z muzyką sceniczną, symfoniczną, kameralną, taneczną, wszystkich niemal rodzajów, bije uczucie zdrowe, głębokie, serdeczne, a wypowiadające się zawsze jasno, wyraźnie i szczerze. Stąd też Noskowskiego popularny „Śpiewnik dla dzieci” jest w swoim rodzaju arcydziełem.

Na operę w pełnym znaczeniu wyrazu zdobył się jedną tylko („Livia Quintilla”), drugą zaś ostatnimi dopiero czasy zdążył wykończyć („Zemsta za mur graniczny”, nie grane jeszcze wcale). Czas i energię pochłaniała mu w w opiekany stopniu — praca zarobkowa. Lecz i w utworach w pracy tej poczętych jest wszędzie i zawsze: gruntowność i sumienność, szanujące talent własny i wrażliwość słuchacza. W niemieckiej szkole teorii i kompo-



ZYGMUNT NOSKOWSKI.

zycji kształcił się Noskowski i piętno pedantycznej gruntowności i sumienności nosi na sobie cała jego twórczość muzyczna. Był też przytem niepospolitym polifonistą i instrumentatorem.

Znawstwo jego muzyki wogóle było wielkie; znał na wylot dzieje jej i arkana. Przez lat dwadzieścia z okładem stał na stanowisku dyrektora Towarzystwa Muzycznego Warszawskiego, poświęcony całkowicie instytucji, a jako pedagog zawołany (prowadził klasę kompozycji), przyczynił się niemało do rozwoju wielu wybitnych talentów swoich. Wystarczy wymienić Melcera, Fitelberga, Maszyńskiego, Różyckiego.

To też w kronikach kultury artystycznej polskiej nie tylko zapisaną będzie na zawsze twórczość kompozytorska Noskowskiego, lecz i jego obszerna, niewyczerpana działalność muzyczna. Nie było u nas przez lat ostatnich trzydzieści „akcji muzycznej”, do którejby wytrwały i niezłomny twórca „Morskiego oka” i „Śpiewnika” ręki nie przyłożył. Nawet — pisał. Pierwszą, między innymi, wydał w języku polskim „Naukę kontrapunktu”; sprawozdania krytyczne, zawsze śmiało i bezstronnie, dawał prasie; mnóstwo skreślił cennych studyów fachowych.

W życiu miał: trud i walkę. Uznania i nagrody ani połowy, na jakie zasłużył. Dopiero hołd pośmiertny i żal ostentacyjnie publiczny opromieniły siwą głowę obywatela-artysty, niestety, w śnie już wiecznym zastygłą.

Wiekista światłość niech Mu świeci — za trud, za walkę, za łzy i gorycze — i za to, co dał i zostawił narodowi swemu. CZ. J.

## Nad świeżą mogiłą.

Głos dzwonów w niebo znów się wzbił,  
Ot, świeża znów mogiła.  
W skromnej plejadzie twórczych sił  
Znów jedna nam ubyła!  
Legł nieposzedni w trumnie mąż,  
Muzyki polskiej chwałę;  
Z trudem przez życie dążył wciąż,  
Choć sława doń się śmiała.  
Dźwięki serdecznych jego nut  
Po całej Polsce dzwonią;  
Skarbami pieśni darzył lud,  
Hojną rozrzucił dłońią.  
Moczarzem był! Z natchnienia nieb  
Brał gwiazdy twórczą siłą!

Lecz na powszedni, twardy chleb  
Nie zawsze mu starczyło...  
Skarbów do obcych nie wiozł bram  
Za grosza liczman tani,  
Lecz, co u obcych zdobył sam,  
To swoim złożył w dani.  
Więc na cmentarnej grudy szczęk  
Ból ozwał się goręcej,  
I spazmatyczny zadrgał jęk:  
— On nasz! i niczyj więcej!

T. MODRZEJEWSKI.

## BRAK OPIEKI.

Od czasu do czasu jakaś zbrodnia, popełniona przez obłąkanego lub idyotę, przypomina Warszawie, a za nią całemu krajowi ciężkie niedomaganie społeczne, jakie stanowi u nas brak opieki nad chorymi umysłowo.

Statystyka, jeżeli sięgnąć do niej, otwiera tu przed naszymi oczami obraz pełen grozy. Dość powiedzieć, że mamy w Królestwie, lekko licząc, z górą 10,000 obłąkanych, a miejsc w szpitalach *summa summarum* niespełna 2,000. Gdzież więc podziwiają się ci, którym społeczeństwo nie może dać opieki? Oczywiście chodzą samopas, są ciężarem rodzin, które muszą je utrzymywać, wywierają zły wpływ na otoczenie, a przy niskim stanie naszej kultury, stają się pośmiewiskiem dzieci miejskich i wiejskich, które nie rozumieją ohyd takiego naigrawania się z nieszczęścia ludzkiego.

Co gorsza, znaczny odsetek chorych tego rodzaju, kiedyś, w początkach choroby, mógł być uratowany. Jak zawsze, tak i w cierpieniach umysłowych i nerwowych, wczesne leczenie, racjonalna opieka lekarska, spokój i wpływy dodatnie, mogą chorobę ołamować, mogą zatrzymać jej rozwój na pewnym stopniu, mogą wreszcie chorego całkowicie uleczyć. Natomiast — przeciwnie — brak pomocy lekarskiej sprzyja przejściu nawet przemijającego cierpienia w stan chroniczny, nieuleczalny. I oto skutek tego właśnie mamy tak wielką ilość chorych ciężko, beznadziejnie, kwalifikujących się już nie do leczenia, ale do zupełnego izolowania od społeczeństwa.

Jednocześnie skutki alkoholizmu i przymiotu, w połączeniu z noworzą porowolucyjną i z wyczerpującym życiem człowieka współczesnego, zapewniają stały dopływ chorych, dający się określić procentowo w stosunku do ludności.

Gdzieindziej, w dobrze zorganizowanych społeczeństwach, posiadających możność samodzielnego myślenia o swoich troskach i samodzielnej obrony przed zagrażającymi klęskami, sprawa opieki nad chorymi umysłowo stała się już oddawna jedną z dziedzin wytężonej pracy organów samorządnych, którym niejednokrotnie przychodzi także z pomocą inicjatywa prywatna i ofiarność filantropów.

U nas to wszystko leży jeszcze odłogiem, i gdyby nie Drewnica, którą właściwie z *niczego* stworzył dr. Rychliński, i nie Kochanówka pod Łodzią, mielibyśmy w kraju jeszcze o trzysta kilkadziesiąt łóżek mniej, niż mamy. Oba te zakłady świadczą jednak tylko o tem, że są wśród nas ludzie dobrej woli i niepożytej energii, umiejący budować nawet w tak niepomyślnych warunkach. Kwestyi to jednak nie rozwiązują. Wejście ona w całej doniosłości, jako zadanie pierwszorzędnej wagi, na porządek dzienny najbliższych obrad wszystkich, po wprowadzeniu samorządu w Królestwie powołanych do istnienia rad miejskich. I tylko te rady będą mogły pchnąć sprawę z miejsca i nadać jej kierunek właściwy.

Nie można taić, że pochłonie to znaczne środki pieniężne, ale niema tu dwóch dróg do wyboru — albo śpieszny ratunek i ograniczenie rozmiarów klęski, albo nieustanny wzrost tej klęski do granic, kiedy walka z nią będzie jeszcze trudniejsza, jeszcze większych wymagająca kosztów i ofiar.

Z. D.





Jarmark w Oranach.

## Z LITWY.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

I.

Jak twarze ludzkie, i ziemia ma swoje rysy rodzinne, nie dające się zatrzeć niczem, wydatne, mówiące silniej o krewnictwie blizkiem, niż wszystkie etnografie razem wzięte!

I żadna moc na to nie poradzi, ani czasy inne, ani nazwa zmieniona, ani choćby świeża, pozorna obcość...

Wpatrzysz się i po chwili poznasz, żeś to już gdzieś, kędyś widział, podobne, takie same, takusienkie....

I dziwnie ci swojo i coraz więcej lubo, jak na rodzinie, choć to niby za górami, za lasami!

Kumają ci się w duszy i z duszą krajobrazy, przystają do serca poletka kłóśne, gwarzą po twojemu dąbrowy i borki, przeglądasz się w strumykach srebrzonych, niby w oczach swojackiej dziewczyny... i swoim „Pochwalony” witasz... i niebo błękitne i ziemię szarą...

Mil sto, a zda ci się, żeś przez miedzę do sąsiadów, do mlecznych, do przyrodnich w goście zaszedł.

A im dłużej patrzysz, tem więcej swego po dziadach pradziadach, z jednej schedy oglądasz.

Jest i krzyżyk przydrożny z blaszonym kurkiem, i chałupa na przyciesiach z kalonkami, i żuraw jak na mazurach, i opłotki jak w krakowskiej stronie, i malwy kwitną w ogródku pod okienkiem, i skowrończana pieśń na sześciokibnych zagonkach!... Hej! myślisz, żeś nad Wisłą lub Pilicą, a tyś już „za Niemnem het! precz!”, za Wilią albo nawet za Swistoczą! Juźci na Litwie...

I zaczyna ci coś w duszy robić wspominkiem, lecieć myślą od mazurskich piasków po Kowieńską dolinę, od wądołków proszowskich po mińskie wzgórza, od Kampinoskiej, Niepołomskiej po Białowież, Ponary!

I tak ci nad tym Niemnem, „co niby srebrną stulą dwie bratnie krainy przewiązał na wieczyste z sobą zaślubiny”, jak nad Wisłą szarą, na Narwią bystrą, nad Nidą szumiącą! tak samo bratnio, ojcowisto, swojo.

Masz podobne krajobrazy, podobne wrażenia, w tenże kształt myśl ci się uклада, masz dla oka znajomy punkt oparcia.



Drwale (gub. grodz.)

I dopiero teraz, wpatrzywszy się, rozumiem naprawdę i Adamów okrzyk: „Litwo! ojczyzno moja!” i Lithuanię Grottgera, i czary przed latami, co po tej ziemi chodziły...

I zaczynasz marzyć tym samym szlakiem, bo ci tu wszystko, gdzie rzuci okiem, na marzenie zadaje.

Marzysz... Ogarnia cię jakieś zamyślenie... Niemen... Słońce już o zachodzie...

Marzysz.. ni początku, ni końca marzeniom, tyle ich ciśnie się do cię, zespała z sercem, łączy... Aliści gdzieś od rzeki odbite rozległe echo wiejskiej sygnaturki.

Poglądasz, aż cię za serce chwyta.

Tam na brzegu sznur chat. Przed jedną dziećmi i kobiet gromadka.

Wyszły przed próg, przykleknęły.

Słyszysz: Anioł Pański!

Stary drwal wraca z roboty...

Dzieciny wybiegły na wzgórek... I iście „Potwór”...

Marzysz...

W zachodzącym słońcu zaświeciła ci Boża Męka.

I znowu widzisz...

Pod Bożą męką przy rozstajnej drodze Wiejskie dzieciny przykleknęły z pacierzem...

Gasnące słońce w wieczornej srodozde

I szare cienie snują się pod krzyżem—

Ludziska mówią, że tu zmierzchem straszy

Tych, co się krzyża bali i pacierzy.

Dzieciom nie straszno ducha ni modlitwy,

Bo ten, co nocą chodzi uroczyskiem,

Gdy już mrok ciemny wieje od puszczy Litwy,

Z polskiem za życia nosił się nazwiskiem

I sam miał ranę w piersiach i krzyż w ręce,

Nim oddał ducha tu... przy Bożej Męce...

KAZ. LASKOWSKI.

## CHEŁMSZCZYŻNA

### za powstania Kościuszki.

Na wieść o „akcie powstania obywateli mieszkańców województwa krakowskiego” i na wezwanie Kościuszki, ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej pierwsza zerwała się do czynu ziemia Chełmska. Co prawda, może być, że wystąpieniu Chełmian sprzyjały okoliczności.

W Parczewie, odległym o 9 mil od Chełma, stał z pułkiem I królowej Jadwigi podpułkownik Jan Grochowski. Utrzymywał on stosunki z patriotami warszawskimi, przygotowującymi „dzieło insurekcji” i czekał tylko podniesienia chorągwi powstania. To też, kiedy wskutek uchwalonej po drugim rozbiore redukcji wojska, rozpuszczeni w Lubartowie żołnierze regimentu Brodowskiego przechodzili przez Parczew, Grochowski polecił porucznikowi Kierzkowskiemu, aby ich rozkwaterował po wsiach pobliskich, bo „będą nam potrzebni.”

W pierwszych dniach kwietnia 1794 r. przybiegł do Grochowskiego wysłaniec z ordynansem Kościuszki. Uradowany Grochowski dał natychmiast rozkaz do wymarszu i na „całą noc” ruszył do Chełma.

Chełm więc pierwszy po Krakowie (jeżeli pominiemy „bunt” Madalińskiego, który już przedtem *de facto* rozpoczął insurekcję) ujrzał wojska powstańcze, a więc miał podstawę do działania. Musiał mieć „dobrą wolę” i przedtem, kiedy już 6 kwietnia mógł się w nim odbyć zjazd obywateli wolnych województwa Ruskiego (części nie zajętej przez Austrię). Takiego zjazdu, w czasach kiedy nie było kolei i telegrafu, w ciągu jednej doby zwołać się nie dało. Musiano więc rozesać „wici” na kilka dni przed zjazdem, a więc najpóźniej

3 kwietnia, w przeddzień bitwy raclawickiej\*). Można zatem nawet przypuścić, że obywatele chełmscy, niezależnie od wystąpienia Grochowskiego, na pierwszą wieść o przysiędze Kościuszki na rynku krakowskim, powzięli decyzję spełnić natychmiast rozkazy Naczelnika.

Obywatele ci, zebrawszy się w cerkwi bazylikańskiej, pod przewodnictwem biskupa unickiego Ważyńskiego, uchwalili przyłączyć się do powstania. Nie spisywali osobnego aktu, ale przytoczywszy w całości tekst aktu krakowskiego z dnia 24 marca, dopisali przy końcu: „W wyż wyrażony akt powstania narodu polskiego, przez Województwo Krakowskie sporządzony i ogłoszony, we wszystkich szczegółach przyjmując, obywatele wolni Województwa Ruskiego, Ziemi Chełmskiej i powiatu Krasnostawskiego podpisują. Datum w mieście stołecznem Ziemi Chełmskiej, w Chełmie, w kościele J.J. X.X. Bazylianów, dnia szóstego miesiąca kwietnia 1794 roku”. Pierwszy na akcie podpisał się biskup Ważyński w słowach: „Przytomny temu aktowi, w mojej katedrze odprawionemu, z zaręczeniem gorących do Boga Zastępów modlitw, za pomyslnie Ojczyzny powodzenie, podpisuję—X. Porfirysz Skarbek Ważyński, biskup Chełmski i Bełzki”. Po podpisach kilkudziesięciu obywateli, potwierdzili zgodę z oryginałem: generał-major Raczyński i Jan Grochowski podpułkownik, zastępca komendy”. Na akcie tym znajdują się nazwiska wybranych Komisarzy Porządkowych: 11 obywateli, 4 mieszczan z Chełma i 4 mieszczan z Krasnegostawu.

Dnia 9 kwietnia, „koło zachodu słońca”, nadszedł do Chełma regiment „lubomski” z czterema działami. Nazwą tą ochrzczone oddziały wojska polskiego, które, wypowiedziawszy posłuszeństwo swym generałom i pułkownikom, na wieść o insurekcji zebrały się w Lubomli, majątku Branickiego, i tam połączywszy się z pułkiem „Wielkiej buławy” (hetmańskim), ruszyły w drogę ku Kościuszcze. Na przywitanie tego regimentu podążyli ku bramie miasta generał Raczyński, biskup Ważyński i „wielu patrzących”.\*\*)

Nad ranem—11 kwietnia przybiegł do Chełma kuryer Radziwiński z raportem o Raclawicach. Zarządzono natychmiast dziękczynne nabożeństwo. Przybył do cerkwi sztab, przybyli Pijarzy ze studentami,—resztę świątyni zapełniło „miasto”. Odśpiewano *Te Deum* „przy odgłosie dzwonów wszystkich”. Ważyński miał przemowę do wojska—wręczając mu w darze obraz N. M. Panny w srebrnej szacie w pięknych snycerskich ramach. Odpowiadał mu generał Raczyński.

Jednocześnie, kiedy Chełm dowiedział się o Raclawicach, Kraków dowiedział się o Chełmie. Wiadomość o powstaniu chełmskim doszła do Krakowskiej komisji porządkowej 10 kwietnia. Natychmiast wystosowano uwiadomienie, że „akt powstania naszego już i od innych Ziemi Polskiej wolnych obywateli i mieszkańców przyjętym i naśladowanym został”. Komisja podała w całej treści „przystąpienie” ziemi Chełmskiej i pow. Krasnostawskiego, polecając „odezwę” swoją wraz z tym aktem

\*) Z dat widzimy, że mylnie sądzi Korzon, jakoby wystąpienie Grochowskiego i powstanie chełmskie były skutkiem zwycięstwa raclawickiego. O Raclawicach wieść w te strony doszła dopiero 11 kwietnia, jak to zobaczymy z dalszego opowiadania.

\*\*\*) Dyaryusz Ważyńskiego, znajdujący się w archiwum lwowskiej kapituły gr.-katolickiej, wydrukowany częściowo w lwowskim *Przeglądzie archeologicznym* 1882 r.



drukować, z ambon ogłosić i do publicznej podać wiadomości.

Kościuszko w odezwie swojej (17 kwietnia), karzącej Sandomierzan za ociąganie się w przystąpieniu do insurekcji, dawał im za przykład ziemię Chełmską i województwo Lubelskie, „które was uprzędziły w szlachetnym dla powszechnego ratunku powstaniu”.

W Chełmie tymczasem odbył się drugi zjazd obywateli 14-go kwietnia, a trzeci w dwa dni później. Na tym ostatnim wybrano prezesem Komisji porządkowej chełmskiej biskupa Ważyńskiego i utworzono księgę ofiar. Tomasz Wydźga, podkomorzy halicki, „zadziwił hojnością ofiary swojej”. O tem wszystkim doniósł Kościuszcze Ważyński w liście z 18 kwietnia (Wielki Piątek). Początek listu brzmiał: „Kiedy pełen nadziei uszczęśliwienia Ojczyzny związek doszedł do naszej ziemi, powołany od tegoż, pierwszy na czele miałem szczęście ściągnąć rękę do podpisu”. Zaręczając, że uczyni wszystko, co do niego należy, składał Ważyński sprawę z ofiar, zapytywał, gdzie je ma odesłać, kończył wreszcie słowy: „Niech Bóg Najwyższy błogosławi orężowi JW. Pana Dobrodzieja, aby przy Zmartwychwstaniu Zbawicielowem, zagrzebana żywcem Ojczyzna do życia, żywości i całości swojej powróciła”.

Wiść o „świętej insurekcji” warszawskiej doszła do Chełma 23 kwietnia. Nazajutrz odśpiewano *Te Deum*.

Do Ważyńskiego wysłał list Kościuszko z pod Połańca 7 maja. Nie była to wszakże odpowiedź prezesowi Komisji porządkowej chełmskiej; było to tylko zgłoszenie się do biskupa unickiego, aby służył sprawie ojczystej. Do nieunitów szła osobna odezwa, unitom, wiernym Polsce, dość było przypomnieć obowiązki. Przypominał więc Kościuszko, „w jakim duchu sejm 1791 r. pracował i jaką obrządkowi greckiemu wymierzył sprawiedliwość”. Wzywał go więc „na miłość Boga, na miłość ludu i miłość Ojczyzny, abyś cel nasz tłómaczył prostocie tak, by człowiek pojął, że wojna terazniejsza zaczęta jest o dobro, o interes, o szczęśliwość każdego... Biskupie! Święty Twój charakter daje Ci przystęp do serca ludu, mów do niego, ucz go kochać Ojczyznę... poradź mu, aby dla własnego dobra łączył się z bronią polską... Los wasz, kapłani obrządku greckiego, zbyt jest i był... upośledzonym... Wolni Polacy poprawią go”.

Dopiero nazajutrz (8 maja) dał Kościuszko odpowiedź na list Ważyńskiego. „Byłem już dawniej—pisał—uwiadomiony o gotowości obywatelskiej W Pana, którą chwalebne Jego przedsięwzięcia najdowodniej okazują”. Następnie udzielał Kościuszko wskazówek Komisji porządkowej, jak ma działać. Kończył list zapewnieniem „szczególnego szacunku dla zacnego Biskupa”.

Na pierwszy z tych listów odpowiedział Ważyński 12 maja. „Z mojej też strony—zapewniał w nim—nie omieszkam poprzeć ducha gorliwości, ku ratunkowi Ojczyzny zagrzezając w prostactkach do pastwy mojej należących, w których, że przy tej, jaka już publikuje się, wolności, ożyje ochota, stłumiona uciskiem do pomnożenia siły uzbrojonej i chętnie pójdą przeciw njeprzyjacielowi tej Ojczyzny, która tyle dobrodziejstw okazując winney wymaga wdzięczności”.

## PRZYSTĄPIENIE DO AKTU POWSTANIA NARODU

Obywatelów Województwa Ruskiego Ziemi Chełmskiej i Powiatu Krasnostawskiego.

**W**zwyż wyrażony Akt Powstania Narodu Polskiego, przez Województwo Krakowskie sporządzony i ogłoszony, we wszystkich szczegółach przyjmując, Obywatele Wolni Województwa Ruskiego Ziemi Chełmskiej i Powiatu Krasnostawskiego podpisujemy. Dattum w Mieście Stołecznym Ziemi Chełmskiej Chełmie w Kościele JJ. XX. Bazyljanów Dnia szóstego Miesiąca Kwietnia 1794. Roku. Przytomny takowemu Aktowi w moiej Katedrze odprawionemu z zaręczeniem gorących do BOGA zastępów Modlitw za pomyślnie Oyczyzny powodzenie podpisuję:

X. Porfirusz Skarbek Ważyński Biskup Chełmski i Belski.

Felix Klemens Wereszczyński, Miecznik Chełmski.

Przytomny temu szczęśliwemu Aktowi podpisuję. Nar: Grzymała Pęczkowski, S. J. W. M. J. Nisiecki, Ignacy Gałąziowski, Szymon Koziatowicz, Karczewicz, Wojciech Godziemba Węgleński, Jan z Konar Kulaczkowicz Kulaczkowski, Alexander Dombrowski, Kapitan Bricki, Antoni Lisowski, Antoni Ber: Switecki, S. F. Kraiewski, Franciszek Zabłocki, Tomasz Paschalski Ziem: Chełm: i Pttu: Krasnostawskiego Exaktor, J. N. Kamiński N. K., Jozef Dybowski, Kazimierz Dzierżanowski, Błażej Gałęzowski, Stefan Sidorowski, Franciszek Andrzeiowski, Józef Lastowiecki, Antoni Słowacki, Maciej Bylina, Ignacy Biernacki, Roch Boianowski, Antoni Borzęcki, Jozef Cyprian Szereż, Alexy Tułszkowski, Józef Czachurski, Franciszek Siemkowski, Paweł Jarzyna, M. Szylgowski, Michał Omiszkiewicz, Jozef Woziński, Paweł Temkaty, K. Brzoszka, K. Przygocki, J. Linciewicz, M. Kędzrzycki, Karól Lisiecki, Antoni Sawicki, Ignacy Kamieniecki, Jozef Podolski, J. Piotrowski, Jan Gibiński, Wincenty Witkowski, Wawrzyniec Rzetelski, J. Małczyński, Dominik Wężyk.

Zgodno z Oryginałem.

A. Raczyński Gen: Maj:

Jan Grochołski, Podpułkownik zastępca Komendy.

### LISTA KOMMISSARZOW PORZĄDKOWYCH.

Ignacy Rulikowski.  
Walenty Suchodolski.  
Baltazar Pągowski.

Paweł Bielski.  
Alexander Dombrowski.  
Ignacy Oledzki.

Powstanie chełmskie, po tej wymianie listów, niedługo trwało. Nie wina to Chełmian, lecz obrotu wypadków wojennych. Chełmianie byli ofiarni i krwią i majątkiem. Wspomniany Wydźga, mianowany przez Kościuszkę generałem ziemiańskim, gorąco się zajmował zbieraniem rekruta i ochotników. Tych ostatnich nie brakło tak wśród szlachty, jak i „pospólstwa”. Ważyński skarży się w swym dzienniku, że nawet kucharz jego „przystał do wojska i nie było komu jeść gotować” \*). Ale zaledwo zaczęto szeregi formować (sama „milyca” chełmska składała się z 2,000 włościan), już korpus rosyjski Zagrajskiego zabierał się do przeprawy przez Bug. Wojsko polskie, wzmocnione posiłkami z Warszawy, wstrzymywało nieprzyjaciela koło Dubienki, ale kiedy połączył się z nim korpus Derfeldena, Zajączek, przysłany przez Kościuszkę do objęcia naczelnego dowództwa, cofnął się z linii Bugu i zajął stanowisko pod Chełmem. Nieszczęśliwa bitwa pod Chełmem (8 czerwca) położyła koniec powstaniu chełmskiemu. Oddziały nieregularne poszły w rozsypkę—część ich połączyła się potem z rejerującym ku Warszawie Zajączkiem i brała udział w obronie stolicy. Ważyński uciekł do Galicji.

Ziemia Chełmska od owej bitwy nie widziała już powstania. Zrazu zalały ją wojska rosyjskie, a po ich ustąpieniu ujrzał Chełm Austryaków. Dodać należy, że Rosyanie po bitwie 8 czerwca aresztowali znaczną liczbę mieszczan chełmskich, Rusinów, i zabrali ich ze sobą.

Na miejscu będzie zapewne zaznaczyć, że Podlasie, którego część ma wejść w skład przyszłej gubernii chełmskiej, również się odznaczyło gorącym patryotyzmem. Znaną jest odezwa Kościuszki do Podlasian z d. 1 maja,

\*) Ważyński z naciskiem zaznacza, że pisze dziennik *prywatny*; o publicznych sprawach o tyle tylko wspomina, o ile mają związek z jego osobą. Stąd z dyaryusza jego niewiele da się wycisnąć.

wzywająca ich do zasilenia bratnich szeregów. Otóż na chwałę Podlasian podnieść należy, że nie czekali oni na wezwanie Kościuszki. Już 20 kwietnia obywatele drohiccy zgłosili swój akces do powstania, a jeszcze przedtem uczyniła to ziemia Bialska. W archiwum Akademii Umiejętności znalazłem protokół komisji bialskiej i drohicckiej, świadczące o ich wczesnej działalności.

Ze względu na osobę i stanowisko biskupa Ważyńskiego, jako też na przytoczony list Kościuszki, poruszający sprawę duchowieństwa unickiego, należałoby uzupełnić tę notatkę charakterystyką stosunku Kościuszki do Rusinów obu obrządków: grecko-katolickiego i grecko-wschodniego (nie unickiego). Ponieważ jednak już nieco obszerniej o tem pisałem w *Przełędzie Narodowym* (1908 lipiec), przeto tu tylko zaznaczę, że Kościuszko 7 maja, a więc w dzień wydania słynnego uniwersału połanieckiego, obwieszczaającego ulgi ludowi, wydał odezwę „Do duchowieństwa polskiego grecko-orientalnego nieunickiego, tak Zakonnego, jak Świeckiego”, w której wzywał je do wierności Ojczyźnie. „Nie trwóście się—pisał—aby różnica opinii i obrządku przeszkadzała nam kochać Was, jak braci i współrodaków. I owszem, za główną sobie przypisujemy powinność, dać Wam uczuć różnicę panowania twardego i niesprawiedliwego, pod którym jesteście (słowa te

odnoszą się do Rusinów i nieunitów w zaborze rosyjskim), z panowaniem prawa, wolności, do których Was wzywamy”.

„Przypomnijcie sobie, jak wielkiej ufności dał Wam dowody Sejm Warszawski, kiedy Was na generalną kongregację wezwał do Pińska, wysłał na nią komisarzy z grona swego, pozwolił się Wam urządzić, i całe urządzenie Cerkwi Grecko-Oryentalnej, przez Was samych sporządzone, z uprzejmością przyjął. Mielibyście byli do tego czasu lepsze opatrzenie, mielibyście swoją hierarchię kościelną, swoich biskupów, gdyby prace tego sławnego Sejmu ciągle przerywane nie zostały. Ale bądźcie pewni, że, czego on nie dokonał, to dokonaniem będzie; że wolność obrządku grecko-orientalnego, przywoite opatrzenie jego kapłanów jest w zamiarze naszym.

„Przychylnością, dobrodziejstw chcemy Was, braci naszych, do wspólnej Ojczyzny przywiązać. Łączcie przeto serca Wasze z Polakami, którzy swojej i Waszej wolności bronią, szukają; niech Polska uzna w Waszej przychylności wiernych sobie synów. Bóg Wszemmocny jest i będzie pomocą tym, którzy bliźnich swoich ratować, a ich szczęśliwość ogólną umocnić pragną; Bóg upokorzy zuchwałstwo tych, którzy dla swojej dumy i ambicji zapominają o jęku i nędzy, o niewoli Ludu nieszczęśliwego. Macie zatem otwartą drogę do szczęśliwości Waszej i Waszych potomków, Polacy Wam podają rękę i zapewniają, że, póty żaden z nas nie złoży broni, póki i my i Wy, grecko-orientalnego wyznania Obywatele, wolnymi i szczęśliwymi nie będziemy”.

Odezwę tę kazał Kościuszko przetłómaczyć na język ruski i wydrukować. Tłómacz widocznie znał lepiej język rosyjski, przetłómaczył ją bowiem na rosyjski. Przypuszczam, że nie leżała w intencji Kościuszki taka zamiana języków, że była to raczej „omyłka” tłómacza, kto wie, czy nie umyślna.



WŁ. ST. REYMONT:

**Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ**

WRAŻENIA I NOTATKI.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:  
— Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscach. Nasłuchiwałem z zapartym tchem; gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

— Powóz we cztery konie! Bóg wie kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuszko!—padła cicha, a mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępa. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słychać uderzanie kopyt i brzęk uprzęży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

— Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tem mówić, poco się mają ludzie płoszyć!—szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

— Zgasić! mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdążyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy tym brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotony skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a sploszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon niezmiernie grzązki, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebytki gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się!—zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

— Kto jedzie?

— Swoi! Swoi!—zerwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu: grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy!—zagadał poważnie pierwszy wóz.

— Tak-że mi powiadajcie! A toż strażniki umieją krzyknąć: swoi!

Słowo „z nadzieją” było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły

jęk ligawki i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź mającowały, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uźdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrąglakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze; grzęzłem niekiedy w błocie po kolana, tłułem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczujęm twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych.—Rozkazano.



Dzwonnica w Witulinie.

Przystanąłem i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienia kroków tych tysięcy przechodzących nieskończoną procesją, że zwolna bór napełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, nadpływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i owdzie szarpać uprzęże i tłuć się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzmagął się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzałą, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchało coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciło się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

— Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem

rwiał się w górę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie sosen twarzą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

— Nie zdążą prędzej niżli na świtanie.

— Byle ich w drodze nie spotkało czegoś.

— Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafiają!

— A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

— Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyżeć:

— Zgasić ogień, a toć łunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawałono ziemią ognisko i zdeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

— Czy to jeszcze daleko? — spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

— Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiąły cicho drzewa i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przebrać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystymi drzewami, a otoczone nieprzebytem bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu!—zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało, jak w ulu, a gdzie w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba — objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nadedniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanymi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę, i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolenbrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało!—zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczęli drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy! A przyszli tylko sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwolenia! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takim przejsciem, o którym tylko wie stary Lewczuk z Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

(DCN)





WYSTAWA AERONAUTYCZNA WE FRANKFURCIE n. M. — WNĘTRZE HALI GŁÓWNEJ.

## Popis aeronautyki.

OD SPECYALNEGO KORESPONDENTA.

Historia zdobycia powietrza sięga początkami swymi aż do mitologii starożytnego świata — to każdy uczeń wie. Że Niemcy i Francuzi w najnowszych czasach ubiegają się o lepsze na tem polu — o tem każdy Europejczyk czyta, tem opinia publiczna żywo się zajmuje. Niemcy w aeronautyce są uczniami Francuzów, ale uczniami, którzy obecnie w Zeppelinie, Parsewale, Grossie etc. omal że nie wyprzedzają swych mistrzów. Wystawę

Właściwą wystawę mieści budynek w kształcie elipsy, dzieło prof. Thierscha z Monachium, olbrzymia hala o górnym i bocznym oświetleniu.

Jest to jedna z największych sal w Europie. Podczas turnieju towarzystw śpiewackich z całych Niemiec, prócz wielkiego podium dla kilku tysięcy śpiewaków i łóż dla dworu i kolegium sędziowskiego, sala ta miała 18.200 miejsc dla publiczności. Ona też mieści obecnie historyczną część wystawy, tu też

widzieć możesz modele rozmaitych balonów ze sterem i bez steru od najprymitywniejszych do — narazie — najbardziej udoskonalonych, modele i oryginały latawców najrozmaitszych systemów i form. Tu huczą i warczą pasy transmisyjne, dudnią motory, obracają się stery, tu pole najnowszych, najintensywniej pracującego i taniego niewolnika — maszyny.

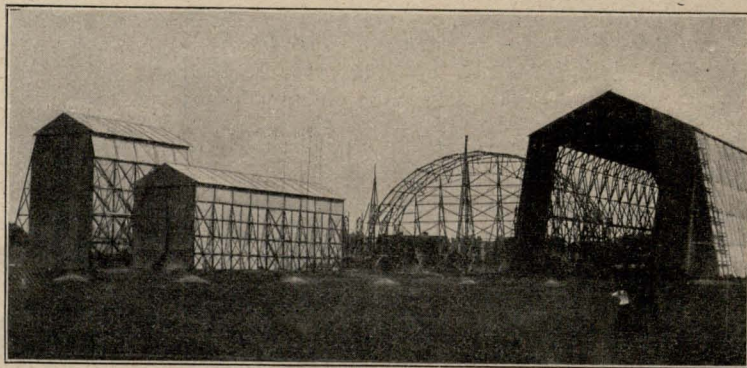
Oszołomionego masą wrażeń unosi fala płynących tłumów z miejsca na miejsce. Obrazy powstają i znikają, różnorodność i nowość rzeczy widzianych męczy oko, natęża umysł. W połowie

drogi patrzysz już tylko mechanicznie, widzisz nie apercepujesz. Dziękujesz w końcu Bogu, że się wydostałeś na wolne powietrze, oddychasz głęboko i swobodnie i szukasz kąta, gdziebyś mógł odpocząć zdala od gwaru tych tysięcy ludzi, skrzętnych w oglądaniu, tłómaczących sobie wzajemnie to i owo, dyskutujących, krzyczących, śmiejących, bawiących się i flirtujących. Ale wpadasz z deszczu pod rynną! Przed tarasem kawiarni, pełnej po brzegi, rzną dwie wojskowe kapele, w ogrodzie winiarni strzelanina korków szampańskich, gwar, ścisk, śmiech, toasty... W piwiarni bawarskie jodle-ry zagłuszają ludową muzykę z Alp, dzikie śpiewanie i granie, uszy rozdzierające! Uciekam w drugą stronę. Poprzez czyścic kolporterów „oficyalnych” kart widokowych, dziennika wystawowego, katalogów, broszur, kwiatów i pamiątek wystawowych dostaję się w piekło, gdzie monotonne dźwięki bębnow z osady murzyńskiej wpadają nierównym taktem w jarmarczną muzykę karuzeli aeronautycznej, skoczne dźwięki „rheinländeru” rozdzierają pełne strachu okrzyki kobiet, spadających rynną z wieży „toboganu”.

Ludek bawi się! Podejrzewam, że więcej bawi się, je i pije — pełno knajp i „erfrischungeraumów”, — tańczy i flirtuje, niż ogląda i uczy się. Te zabawy — to słaba strona wystawy, psuje ogólne wrażenie i pozostawia niesmak po sobie. Kwesytą, czy to ustępstwo dla mas, schlebianie jego instynktom, czy też celem — interes. Zapewne jedno i drugie.



GMACH WYSTAWOWY.



ŚPICHRZE NA BALONY I AEROPLANY.

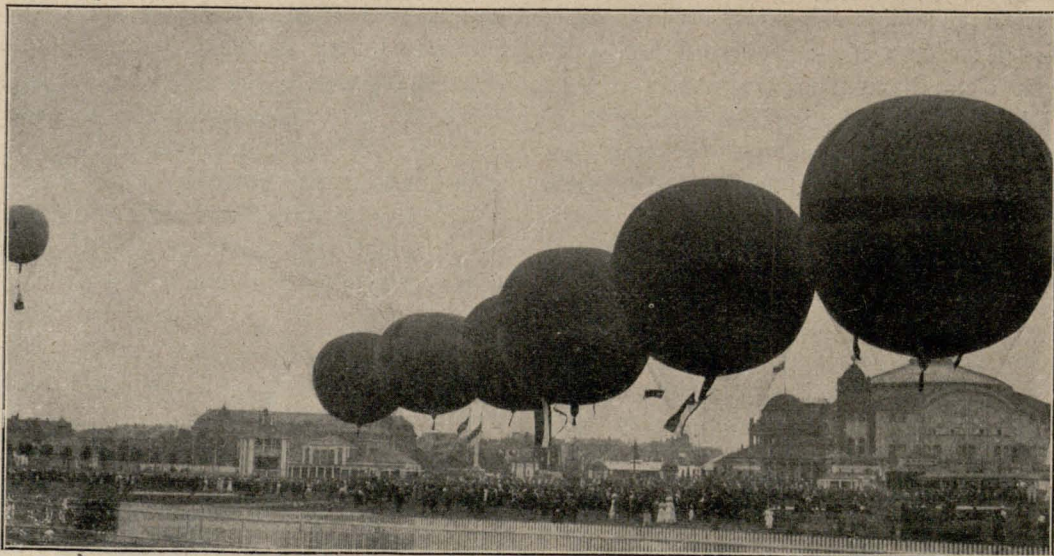
Uciekam w drugą stronę wystawy, na pole, na którym wystawa eksperymentuje, urządza wloty rozmaitymi balonami, wysięgi i próby. Wielkie hale stoją szeregiem, jak pruscy żołnierze! Przybytki to konia powietrznego. Cicho tu i spokojnie. Z cichą radością mierzę spokojnymi krokami zieloną łąkę. Myślę o potędze umysłu ludzkiego, który nie zna żadnych granic i żelazną konsekwencją idzie coraz dalej, idzie w nieskończoność. Hale czekają na przyjęcie swych powietrznych olbrzymów. Nadpłyną wkrótce, w całym swym majestacie, siłą swych zabójczych gazów, dyszących kotłów w płucach i wirujących sterów u boków.

FRANKFURT n/M. w lipcu.

PROF. M. M.

wą i jej wszechstronnymi urządzeniami także są pierwsi. Dumni są też z tego! Szczególnie dumny Frankfurt n/M., ta stara metropolia handlu i przemysłu, kolebka Rotszylków, ongiś wolne miasto i stolica państwa niemieckiego, rzymskiego cesarstwa. Centralne położenie tego miasta w Niemczech i Europie, mnóstwo i łatwość dobrych środków komunikacyjnych, łatwość sfinansowania wystawy i fakt istnienia olbrzymiej hali wystawowej z przylegającym doń wielkim, bardzo wielkim polem — oto czynniki, które przemawiały za urządzeniem tej wystawy we Frankfurcie nad Menem.

Systematyczność Niemców, ich zamiłowanie do porządku, brak refleksji i ambicya narodowa sprawiły, że myśl, podjęta przez kilku ludzi ze stowarzyszenia aeronautycznego we Frankfurcie z końcem zimy, zrealizowała się prawie że w mgnieniu oka. I 10 lipca nastąpiło uroczyste otwarcie w obecności kilku książąt, przedstawicieli władz, prasy i zaproszonej publiczności. Wystawa dzieli się na dwie części: na wystawę w ścisłym tego słowa znaczeniu i na część zabawową i handlową.



BALONY NA UWIEZI.





Główni aktorzy przesilenia gabinetowego we Francji: Delcassé, b. minister marynarki, Picard i Clémenceau.

### Na szerokim świecie.

Wypadkiem dnia jest dymisja gabinetu Clémenceau we Francji, który rządził blisko trzy lata i rządził—trzeba to przyznać—ręką silną i sprężystą.

W zakresie dziesięciu dni zmienili się naczelnicy rządu w obu państwach, które dzieli krwawa przepaść z 1870—71 r. Ale podczas gdy w Niemczech przyczyną dymisji Bülowa były wyłącznie sprawy wewnętrzne, we Francji runęło ministerium za pośrednim wpływem polityki zagranicznej.

Była to zupełna niespodzianka. Jeszcze na parę dni przedtem, przy rozprawach nad polityką ogólną, otrzymał gabinet większość dosyć znaczną. Naraz, na wieczornym posiedzeniu z d. 20 lipca, kiedy stary wróg Delcassé, którego urażona ambicja nie może zapomnieć brutalnego usunięcia ze stanowiska naczelnika polityki zagranicznej Francji, wystąpił z surową krytyką stosunków, panujących w marynarce francuskiej, słuszną wogóle, a niesłuszną w zastosowaniu do rządów Clémenceau, ten dał się uwieść temperamentowi i zarzucił mówcy, że jego polityka zaprowadziła Francję do upokorzenia—do konferencji w Algeciras. To rozstrzygnęło los rozpraw. W głosowaniu Izba odmówiła gabinetowi zaufania.



Arystydes Briand, nowy naczelnik rządu we Francji.

Co do pobudek istnieją dwie wersje: według pierwszej, postowie ludu francuskiego, który nadewszystko pragnie sięzbogacać, a więc żąda pokoju za wszelką cenę, przeleżeli się nuty bojowej, którą rzekomo usłyszeli w przemówieniu byłego premiera. Wedle drugiej — konferencja w Algeciras, niewątpliwie upokorzenie Francji, należy do tych wypadków, których poruszać nie można pod grozą utraty popularności, Francuzi bowiem nie lubią przypomnienia porażek.

Niewątpliwie działały tu przedewszystkiem inne względy—o wiele niższej natury. Zauważyć wypada, że na posiedzeniu wtorkowym było 175

postów nieobecnych, zatem głosowanie wogóle było przypadkowe. Clémenceau był jednostką niewątpliwie bardzo wybitną i dlatego miał wielu wrogów. Naraził się socyalistom przez swoje stanowcze występowanie przeciw strejkom; miał przeciw sobie stałe całą prawicę, jako ten, który wprowadził w wykonanie rozdział Kościoła od państwa; nie byli bezczynni i dawni współzawodnicy w rodzaju Delcassé. Wreszcie—gabinet trwał zbyt długo, wytworzył się szereg niezaspokojonych apetytów, kandydatów na ministrów, niecierpliwie oczekujących spadku. Dlatego rząd upadł przypadkowo, dzięki skorzystaniu ze sposobności.

Schodzi ze sceny politycznej, zapewne na zawsze, jeden z nielicznych mężów stanu, jakich miała Francja. Jeżeli nie przeprowadził w polityce wewnętrznej reform, które zapowiadał, stało się to za sprawą przyczyn różnych, od woli jego niezależnych. Natomiast w polityce międzynarodowej powaga Francji podniosła się znacznie za jego rządów, dzięki umiejętnie zastosowanemu systemowi różnych przymierzy i porozumień. Prawo o rozdziale Kościoła od państwa było przeprowadzone i stosowane w sposób drażniący — prawda; ale nie dochodziło do takich skandalów, do całej sieci spiegotowania religijnych, jak za rządów Combesa. Chociaż z przymierza z socyalistami wyszedł, nie wahał się jednak Clémenceau wystąpić przeciwko nim w sposób najostrzejszy, ile razy chodziło o zagrożony porządek publiczny. Strejki znajdowały w nim niczem nieubłaganego stróża prawa.



Młody szach perski.

Namiętny, ambitny, bezwzględny świetny polemista i stylista, znakomity mówca, miał Clémenceau jeszcze jedną, rzadką u dzisiejszych polityków francuskich cechę: czyste ręce. Jedno ma na sumieniu: manewr polityczny, sfałszowanie depeszy o porażce wojsk francuskich pod Langsonem, który obalił karierę znakomitego polityka, Juliusza Ferry. Przypomniano mu to we wtorek. I wspomnienie to brzmiało, jak historyczny okrzyk w dniu 9 Thermidora, rzucony jękającym się Robespierre'owi: „Krew Dantona cię dusił!”...

Równocześnie prawie z upadkiem gabinetu francuskiego zeszedł do grobu człowiek, który sporo nawichrzył w innym, pogranicznym kraju łacińskim. Pretendent hiszpański, don Carlos, umarł. Kiedy Ferdynand VII hiszpański w r. 1830 zniósł prawo salickie, aby zapewnić tron córce swojej, Izabelli, usunięty tym sposobem od tronu brat jego, Karol, ogłosił się królem pod mianem Karola VII i w licznych rewolucjach walczył o tron bezskutecznie. Dążenia swoje przelał na syna, zmarłego właśnie don Carlosa, księcia Madrytu.

Około sztandaru karlizmu grupowali się nie



Sattar-chan w otoczeniu swoich zbrojnych stronników.

tylko starzy legitymiści hiszpańscy, ale także wszelkie miejscowe żywioły ultra konserwatywne i ultra klerykalne, oraz zwolennicy dawnych przywilejów t. zw. „fueros”, szerokiej autonomii prowincjonalnej północnej części Hiszpanii.

Nasza bardzo prozaiczna epoka nie sprzyja romantycznym rewolucjom. To też bohaterka epoka karlizmu przypada na pierwszą połowę ubiegłego stulecia, podczas małoletności i podczas rządów Izabelli. Były to wówczas prawdziwe i groźne wojny domowe z uczestnictwem młodzieży katolickiej z różnych krajów.

Zmarły pretendent, urodzony w r. 1848, znał ten okres tylko z tradycji i sam był twórcą jedynie drobnych zamieszek. Z nim kończy się karlizm. Skarłał bowiem w następnych. Syn don Carlosa, Jayme de Bourbon, służył w pułku huzarskim w Warszawie i uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej; żadnych aspiracji politycznych nie posiada. Córka, Elwira, głośna była przed kilku laty z romansu z malarzem Folchim, druga córka uciekła od męża.

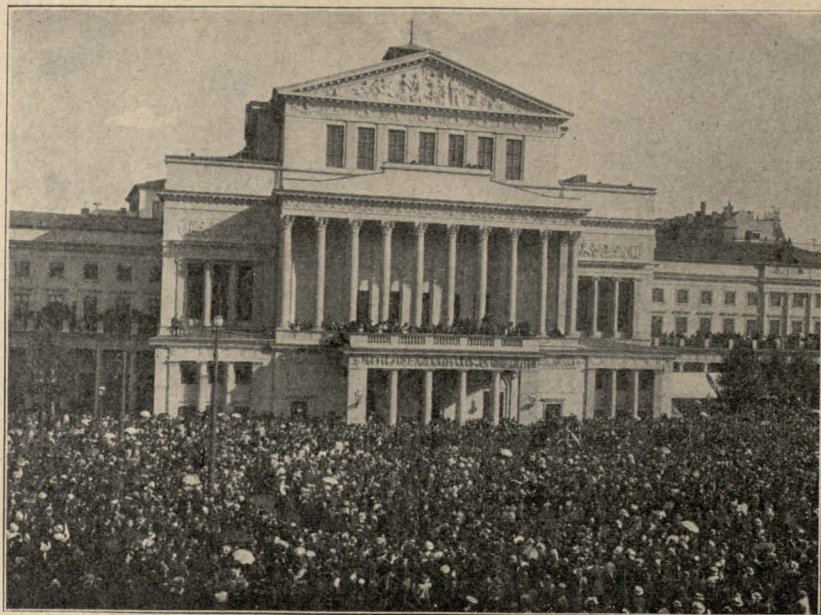


Don Carlos de Bourbon.

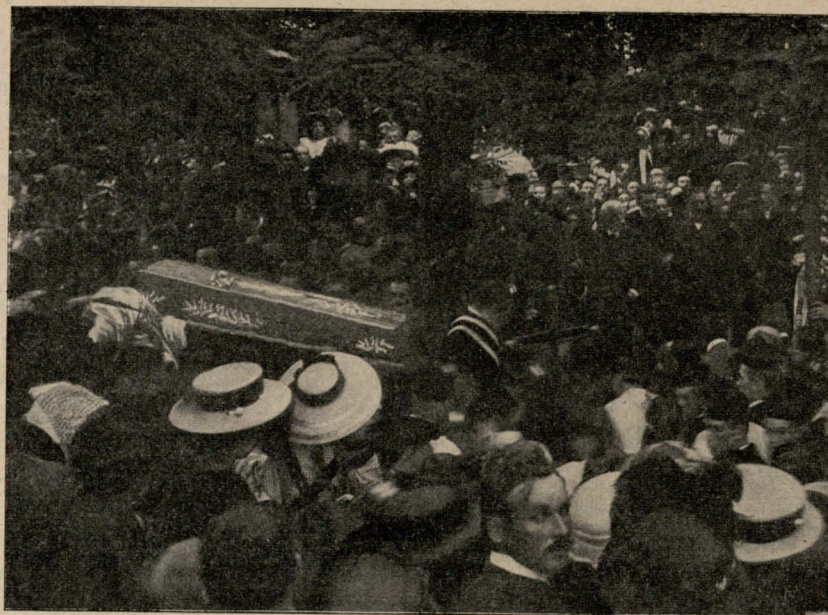


Od paru dni popisuje się w Teatrze Nowym młodziutka tancerka bosonoga, p. Stefania Dąbrowska, która ukończyła kurs czteroletni w szkole Izodory Duncan ze stopniem solistki. W r. 1904 dziesięcioletnia wówczas p. Dąbrowska, otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie główek dziecięcych, urządzonym przez redakcję *Kuryera Świątecznego*. Młoda tancerka jest zjawiskiem pełnem wdzięku i czarującym.





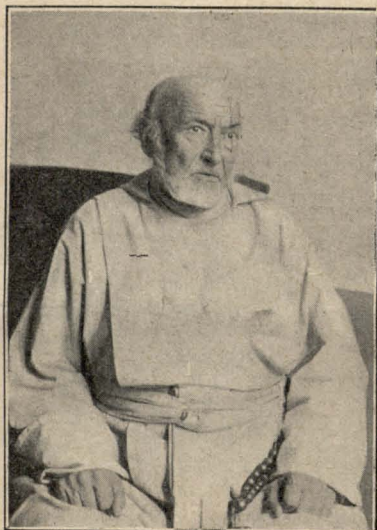
ORSZAK POGRZEBOWY PRZED GMACHEM TEATRÓW.



NA POWĄZKACH.

### Ostatni Przeor Kamedułów.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie O. Floryan Marczewski, ostatni przeor popularnego zakonu Kamedułów na Bielanach. Był to 73-letni starzec, który niezwykle przechodził koleje. Przed pół wiekiem był znany szeroko w kołach warszawskiej bawiącej się i hulaszczkiej młodzieży. Potem znikł nagle z widowni i w parę lat później ukazał się, jako zakonnik. Zastąpił niebawem z po-



vodu niezwykłego daru kaznodziejskiego. Wybrany niebawem potem przeorem, przez długi szereg lat piastował tę godność. A kiedy klasztor skasowano, zamieszkał w przytułku św. Stanisława dla nieuleczliwych i tam też dokonał świętobliwego żywota, znany i wysoko szanowany w szerokiej kołach. Zeszedł do grobu przedostatni z Kamedułów; żyje już tylko jeden, O. Zegartowski.

### Pokłosie wydawnicze.

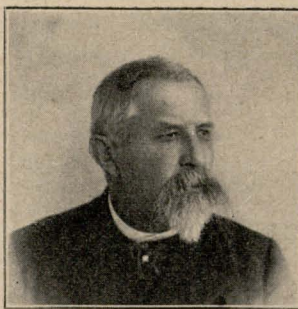
*Franciszek Jerzy Galiński. Z dyalogów spróśnego Marcholta z Don Juanem, fragmenty, Kraków, 1903.*

Kilka dyalogów: pierwszy, drugi i trzeci, potem siódmy, dziewiąty, jedenasty, dwunasty i trzy-nasty. Dlaczego takie, a nie inne liczbowanie — nie wiemy. Charaktery rozmówców nie zaznaczo- ne z dostateczną plastyką: może Marcholt — to werydyk, uosobienie tez autora, a Don Juan — to obraz dzisiejszych prądów i poglądów? Może. Zresztą, wchodzić w to nie będziemy, bo i trudu szkoda. Gdybyż treść tych dyalogów miała coś nie coś wspólnego z Platonem, albo choćby z Kła- czką! Ale nie: to czeza, a napuszona i pewna siebie gadanina przy grenadynie lub czarnej kawie w kawiarni. Gdybyż choć szata stylowa rozmów była bardziej wytworna! Gdzie tam: proza, naj- banalnniejsza proza.

*Czesław Królikowski. Kwiat konwalii, wydanie pierwsze, nakładem autora, Warszawa — Lublin, 1909.*

Poezje prozą. Nastroje. Fragmenty. Legion wykrzykników i wielokropków. Ile pretensjonal- ności, tyle nieumiejętności. Oto przykład: „Siedzę u szewca... Buty reparuje szewc... Moje własne buty. Gęsty mrok zasłonił okno. Szyby czarne. Żółty płomyk lampki rozprasa w izbie noc. Nagle snop światła wpada przez szyby. Blask oślepia i... rozjaśnia moją twarz... Widzę piekło... Stra- szne piekło widzę przez okno, tonące w jarzącym blasku... Ludzie—szatani!... Gorzej.. Cholery!... Biedni... Przekłeta ciemnota!... Kiedyż ze szpon swych krwiożerczych uwolnisz ludzki ród?... Niech cię pioruny zatrzaska!... Nic się nie boję!... Jestem duch, jestem król!... Duch nieśmiertelny jestem ja...” Dosyć! Precz ze sceny! Zastona.

### ZŁOTE GODY.



Rzadką tę uroczystość obchodzili 17 lipca r.b. w Jabłonówce pow. Łatyczowskiego na Podolu Włodzimierzostwo Koźmiński. Błogostawieństwa jubilatowi udzielił przyjaciel rodziny, ks. proboszcz Michałowski, w parafialnym kościele w Derażni. Jubilat, syn Leona, b. marszałka szlachty pow. Łatyczowskiego z wyborów, ur. 22 października 1832 r., w dniu 17 lipca 1859 r. poślubił Elizę, cór- kę Józefostwa Węgleńskich z Kołybów. Matką ju- bilata była Elżbieta z Macewiczów.

Jubilat ukończył gimnazjum w Kamieńcu Po- dolskim, wyższe zaś studia w liceum w Odessie. Po ukończeniu studiów osiadł na zagonie ojczy- stym i całe życie poświęcił pracy na roli, którą umiował. Główne zasługi położył około rozwoju cukrownictwa. Okoliczne ziemiaństwo darzy Ju- bilatów wysokim szacunkiem i wielkim uznaniem dla ich prawości charakteru oraz zalet społecznych i towarzyskich. Wyraz tego uznania dawano ju- bilatowi niejednokrotnie, obierając go sędzią po- lubownym. Jubilaci, pomimo dość późnego wieku, cieszą się doskonałym zdrowiem, które, da Bóg, pozwoli im doczekać brylantowych godów. Na tę uroczystość zjechała z blizkich i dalekich stron liczna rodzina—córki: Jadwiga Sagatowska i Ofelia Beniśawska, synowie: Wiktor, ożeniony z Jadwigą

z Czrówowskich, i Henryk, ożeniony z Ludwiną z Zaleskich, z licznymi wnukami, jak również zie- miaństwo okoliczne, wśród którego jubilaci posia- dają licznych przyjaciół.

### LEOPOLD KOCH, MIODOWA z. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

### DERENIÓWKA



### F. JANKOWSKIEGO.

### MEBLE STYLOWE M. KALMUS MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

### BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.



### ZJAZD INTERNISTÓW POLSKICH W KRAKOWIE.

Przez trzy pierwsze dni ubiegłego tygodnia obradował w salach klinik krakowskich zjazd internistów polskich przy liczonym udziale specjalistów w tej dziedzinie wiedzy lekar- skiej z Królestwa Polskiego i Poznania. Narady miały za przed- miot najważniejsze dzisiaj zagadnienia nauki lekarskiej i hy- gieny.



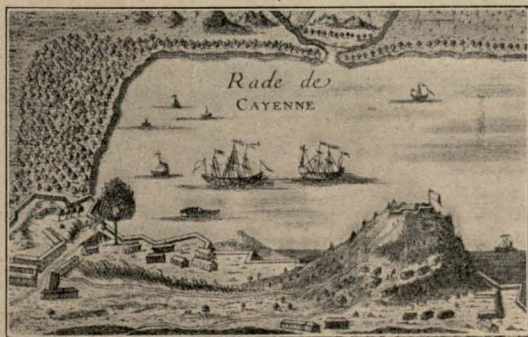
## PODRÓŻ PRZYMUSOWA DO KAJENNY.

Po wielkim upuście krwi, jakim była epoka Teroru, rządy francuskie niechętnie uciekały się do pomocy znieprawionemu narzędziu kary—gilotyny. Zastąpiło karę główną—wzgnanie, co prawda w takich warunkach i do kolonii o tak niezdrowym klimacie (Gujana), że słusznie nazwano ową karę „gilotyną suchą”. Powolna śmierć była udziałem połowy wygnańców.

Z początku jechali do Kajenny najbardziej krwawi teroryści, między innymi Collot d'Herbois i Billaud Varennes.

Ale, kiedy wybory z r. 1797 dały w radzie pięćset większość monarchistom, a, pod wodzą jednego z najzdolniejszych generałów rewolucji, Pichegru, zawiązało się sprzysiężenie w celu obalenia rządów republikańskich i zostało odkryte, załadniła się Gujana i monarchistami. Byli to t. zw. sprzysiężeni 18 Fructidora (4 września 1797 r.), w tym dniu bowiem miał być z ich strony, a został ze strony Dyrektoryatu dokonany zamach stanu.

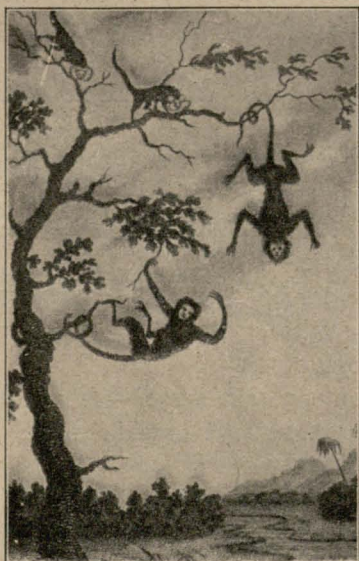
Zabłąkał się między nich pieśniarz uliczny, wróg Rewolucji, zakapturzony rojalista, dowcipny i cięty Ange Pitou. Postać to spopularyzowana wszędzie przez starego Dumasa, który obrał go sobie za bohatera cyklu powieści z epoki Rewolucji. Pod zarzutem wyśmiewania rządu i instytucji republikańskich zostaje aresztowany 3 Fructidora r. V-go (30 sierpnia 1797) i niebawem potem skazany na śmierć.



Port w Kajennie.

Drogo kosztowałyby go szydercze piosenki, gdyby nie apelacja i zmiana kary na zesłanie do Kajenny. W drodze i na miejscu wygnania poznaje się z konspiratorami i zesłańcami 18 Fructidora i pisze dziennik podróży przeważnie barwny i wesoły, przelatany piosenkami, rzadziej smutny i przynębiony.

Kiedy w parę lat później, skutkiem zamachu stanu Napoleona, powraca do Francji, widzi w tym dzienniku źródło zrobienia majątku. Ale wydanie nie idzie łatwo. Istnieje nadzór nad wydawnictwami. Funkcjonują w nim ludzie niedawno upadłego systemu. A były wygnaniec ostro i złośliwie sądzi wielkorządców kolonii, którzy nieraz dawali mu się we znaki.



Małpy w Gujanie: kojata (coiata) i saki winki.

Więc dzieło jego uważane jest za niebezpieczne. Żądają zmiany tytułu pierwotnego: „Podróż przymusowa do Kajenny”. Przytem, jak mówi prefekt policji Dubius, „znaczna ilość



Przejście przez bagna w Gujanie.

umarłych... może wywołać nieprzewidywany wstręt do bardzo drogiej państwu kolonii”. Zrozpaczony autor zapytuje, co ma usunąć. „Nie wiemy—odpowiadają urzędnicy. — Gdybyśmy powiedzieli, byłby to rodzaj cenzury, a prawo cenzurę zniosło”.

Sprawa ciągnie się długo. Na szczęście, po dwóch latach przeszło, w roku 1804 odegrał Pitou niewyjaśnioną dotąd przez historię rolę w sprawie zapobieżenia emisji miliarda fałszywych banknotów. Dzięki temu Napoleon polecił przyspieszenie decyzji biura doradczemu wolności prasy.

Nareszcie upragnione pozwolenie otrzymał. Kosztem zmiany tytułu, wykreślenia w kwalifikacjach autora nazwy zesłańca, wreszcie—co najważniejsza—kosztem przedmowy wymuszonej, w której Pitou ogranicza zawarte w książce oskarżenia administratorów Gujany zastrzeżeniami. Najważniejsze z nich brzmi: „Nieszczęśliwe warunki, brak środków, rozpaczliwe położenie kolonii, niesubordynacja czarnych, straszne zamieszanie i chaos przemawiają na ich (wielkorządców) korzyść”.

W r. 1805 ukazuje się książka p. t. „Wygnańcy Fructidora. Dziennik Ange Pitou”. Powodzenie jej było tak znaczne, że autor zarobił aż 12 tysięcy franków. Po przeszło stu latach wydobywa ją teraz z pyłu zapomnienia wydawca, Michaud. Mimo tej starości zachowała świeżość wrażeń bezpośrednich, lekkości, dowcipu, wesołości. A przecież warunki podróży były takie, że nazawsze mogły autora tych cennych zalet pozbawić. Podróż etapami do portu to nic jeszcze: świeże powietrze, znajomi po drodze, tu i owdzie parę szklanek wina rozweselają serca. Ale na statku wszyscy upadają na ducha i tylko lekki piosenkarz zachowuje jaką taką równowagę.

Ciekawa jest lista skazanych! Dziesiątki nazwisk, opatrzone takimi przypisami: „złe widziały przez patriotów”, „za to, że nie podobał się „Dyrektoryatowi”, „denuncjowany”, „niespokojny” i t. d. i konkluzja: „zdany do deportacji”!

Na przestrzeni 32 stóp długości i 6-ciu szerokości mieści się 96 ludzi. „Ogarnia nas dym z kuchni. Jeżeli wychodzimy na pokład, słońce nas smaży. Kilkudziesięciu choruje na szkorbut. Skargi nasze są daremne. Niema co jeść”.

Po przybyciu do Kajenny, miejscowi koloniści przyjmują zesłańców serdecznie. Dają im się we znaki murzyni. A to dlatego, że agent Dyrektoryatu, skutkiem zniesienia niewolnictwa, ma przeciwko sobie białych plantatorów i kolonistów, a opiera się na murzynach, patrząc na ich wykroczenia i rabunki przez szpary.

Zesłańcy z Fructidora — to rojalisci. Stąd sympatya dla nich. Inny zgoła był stosunek do byłych terorystów, eleganckiego Billaud Varennes i patetycznego aktora Collot d'Herbois, który padł

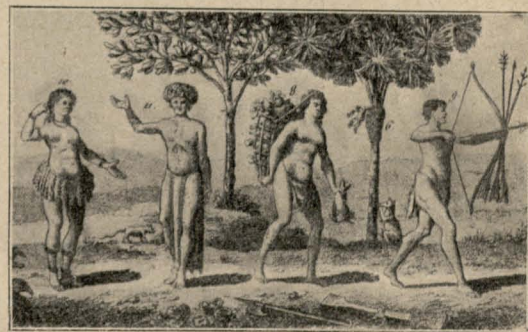
tu ofiarą klimatu. Przyglądano im się w więzieniu, jak dzikim zwierzętom, zamkniętym w klatce. Kiedy wysyłano ich z Kajenny w głąb lasów, całe miasto wyległo na wybrzeże, wydając okrzyki radości i znieważając wczorajszych potentatów. Spotkani po drodze odwracali oblicza, żeby ich nie widzieć. Tak straszną sławę dał im system teroru.

W głębi lasów życie jest ciężkie. W Europie zazdroszczą ludziom, mieszkającym w tym cudnym klimacie, uprawiającym tak niesłychanie płodną ziemię. Tymczasem „zabójcze opary tej ziemi dziewiczej zabijają człowieka, który ją otwiera... Samotny człowiek w tych lasach nie zdążyłby oczyścić kawałka ziemi, żeby drugi koniec nie pokrył się zaroślami... Nie można karczować drzew olbrzymich, trzeba je opalać. Niepodobna osuszyć błot. Słońce i powietrze Gujany to są trucizny najsurowsze”.

Warunki życia zesłańców są straszne. Chałupa ledwie pokryta, a w porze dżdżów wewnątrz pełno wody. Środków żywności rząd dostarczać nie chce. Pierwsze zapasy wyczerpały się prędko i zesłańcy są na łasce kolonistów, którzy sami niewiele co mają, ale okazują się, pomimo to, dobroczynni.

Oto portret agenta Dyrektoryatu, Jeanneta: „Prawem jest tu jego wola. Nic nie równoważy jego władzy. Rozrzutność, rozpusta, żądza złota są jego organami, motorami jego postępowania, jego żywiołami, jego duszą. Cnotą dla niego jest używanie życia”.

Przyjmuje wygnańców o dziewiętej rano, już



Indyanie z Gujany.

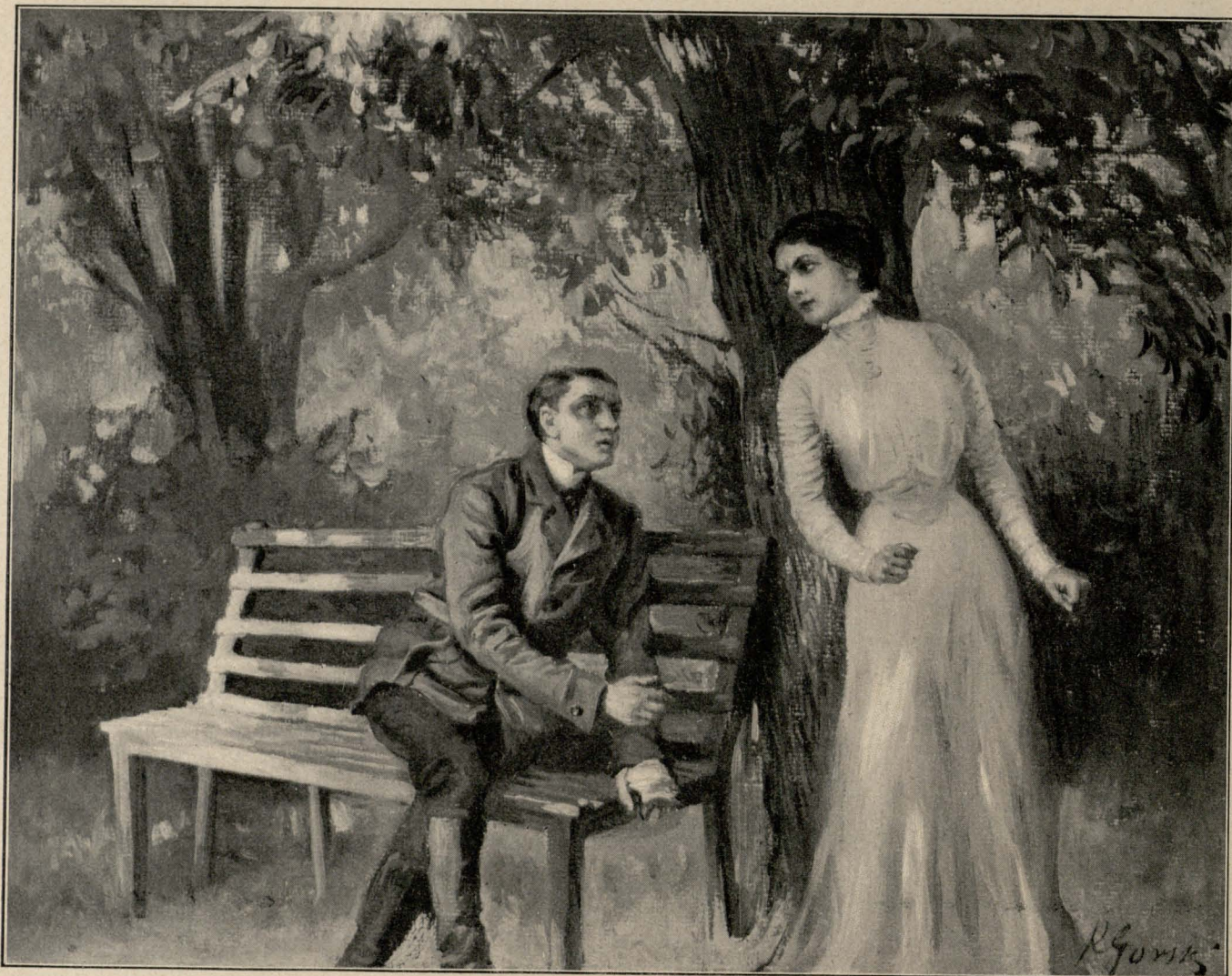
przy zastawionym stole, w kompanii, śpiewającej pieśń bachiczną. „Festyny codzienne bywają od kilku miesięcy, a w kasie brak pieniędzy na wypłacanie nam siedmiu i pół solda dziennie. Od rana są przy stole, a wstają o północy. Stół jest nieustannie zastawiony. Na deser wzuwają kwatunki”... Nie lepszy, raczej dla zesłańców gorszy, jest następca Jeanneta, Ruvnel. Jeszcze większy złodziej, „konfiskuje wszystko, co przychodzi dla wygnańców. Więzi mieszkańców, którzy okazują im jakąś pomoc, albo komunikują im jakieś nowiny. Jednych więzi w ciemnych celach, innych wysyła na skały morskie. Zmniejsza jeszcze racje pożywienia. Zapomocą rewolucji wewnętrznych, uzbrajania mulatów przeciwko białym, zgarnia obfite łupy”...

Zostaje smotnie wypędzony z wyspy. Po nim zajmuje stanowisko agenta Hughes, ale ten tylko o tyle może męczyć zesłańców, że wszelkimi sposobami wstrzymuje ich odjazd. Bo oto wybiła godzina łaski. 7 stycznia 1800 r. dwadzieścia jeden strażów armatnich obwieściło dalekiej kolonii o zamachu stanu 18 Brumaire'a.

Dopiero w rok potem ruszają skazańcy w drogę powrotną. Do Gujany przyjechało 529 ofiar Fructidora, a połowa zaledwie powraca. Konkluzja nie wesoła i jako charakterystyka kolonii i jako oświecenie działań wielkorządców.

Ta kartka z dalekiej przeszłości nie nastraja optymistycznie. Bo oto na przestrzeni przeszło stulecia nasuwają się różne analogie. Inne niewątpliwie poglądy prześladowane i inne panujące, inne warunki geograficzne i klimatyczne, a przecież w okolicznościach życia i doli wygnańców zachodzą zmiany tak małe, że prawie zwątpić można w postęp moralny ludzkości.





Poczekaj, Krysiu; jaż tam nie byłem...

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# U N I A

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzeżę się prawo przedruku. 31)

Krystyna nie tak dobrze znała Jurka, jak Piotra, ale go lubiła, jako wspomnienie myśliwskie, zwłaszcza od ostatniego polowania na lisy. Jednak obecność starego wygi tutaj obudziła w niej przecucie zbliżania się czegoś niepożądanego. Może wreszcie przybył tylko w odwiedzin do brata. Otworzyła okno.

— Jak się macie, Jurku?

W pas się pokłonił:

— Jak stary, jasna grabini. Przyszli my tutaj z książęty na złoty kaczek, bo ich tam żywe piekło za jeziorem, na łąkach.

— To i książęta tutaj?

— Przystanęli my w karczmie, bo pora na złot to kiedy ledwie dnieje, albo kiedy już zmrok pada. Na ranny ciąg nie pośpieli, choć nocą wyjechali. Wiadomo, droga daleka.

— Taka podróż po nocy dla głupiej kaczki?—rzekła Krystyna nadąsana z powodu wiadomości o przyjeździe Zasławskich do Ponikszty.

— Kaczka na ciągu nie głupia, panieñku ty moj; nie ta już ona, która na święty Jan, główkę wysunawszy, pły-yynie...—naśladował Jurko z powodzeniem płynącą kaczkę.—Wiadomo—durna. Teraz jej pod niebem szukać trzeba, póki najdziesz, a celując,

sążeń poprzód dzioba założyć, kiedy to śmiga z daleka—szu-szu-szu-szu.—A już kiedy zwali się z powietrza, tak czarną tęczą, i chlapnie na wodę, albo na łąkę rozczapierzywszy się, jak siodło. Satisfakcja!

Oklapłym jakimś ruchem przykucnął i rozpostarł palce obu rąk, raczej do chudej zaby, niż do kaczki podobny. Uśmiechał się przytem ławo, widząc, że bawi Krystynę opowiadaniem.

— Taki to trudny strzał do kaczki na ciągu?—zapytała dla podniecenia werwy Jurka.

— Trudny—jak komu. Kiedy rozpędzona i wysoko, ledwie jej śrutem domacasz. A znowu bywa: siedzisz pod łożą cichą, dech zaparłszy, a gromada kaczek złata na łąkę, o tobie nie myślący. Tak ty wstań! Tedy kaczki szurum! jak zawrócą, a zbiją się w czarny kłęb, ty im daj duchu z dwóch rur!—Pięćdziesiąt pięć kaczek zabił nieboszczyk książę Mikołaj dwoma strzałami przy Dusiaczkim jeziorze taką sztuką!

— Dwoma strzałami?

— Dwoma—dalibóg prawda.

— A tutaj bywa tyle kaczek?—zapytała Krystyna, w której odezwała się żyłka myśliwska.

— Poniksztyńskie same te kacze łąki.

Nie wiem, jak teraz. Ot, poprobuje z nami grabini wieczorkiem.

— Nie mam nawet strzelby.

— Bajki! u książąt cztery strzelby w kalamasce.

— Nie chcę z książętami polować—rzekła Krystyna stanowczo.

— Tak czemu?—my nie z Rarogów—szepnął Jurko przebiegle.

Nie zgodziła się jednak Krystyna. Strzelec przełknął ślinę i z innej beczki zaczął konwersację, gładząc się po łysinie:

— Ot, kazali mnie panowie obiadu w miasteczku szukać. W karczmie strawa żydowska hadka.

— Bardzo żałuję, że sama zaprosić nie mogę; mieszkam nie u siebie. Książdz Wyrwicz jest w kościele, albo u dziekana; pewno go tam znajdziecie.

— A już trzeba będzie... Książę Michał tutaj, w ogrodzie. Rękę skaleczył i szuka ziółka na opatrunek.

— Bardzo się skaleczył?—Wasz brat Piotr mógłby go opatrzyć—rzekła Krystyna, tym razem poruszona.

— Ja tak i myślę—odpowiedział Jurko dobrodusznie.

Okręcił się na zwinnych piętach i dał półgłosem sygnał leśny zwoływający:



— Hop, hop tu!

Zaraz wynurzył się z gąszczy Miś Zasławski, snadź niedaleko od dworku szukający ziółka. Lewą rękę miał już przewiązaną chustką, stąpił z mniejszą, niż zazwyczaj, fantazyą, co zresztą wpływało korzystnie na elegancję jego postaci. Przystąpił do okna i pocałował wyciągniętą rękę Krystyny.

— Dzień dobry.—Cóż to? zraniłeś się?

— Bajki.—Do klasztoru wstępujesz Krysia, słyszałem?

— A to co znowu?! Ksiądz Antoni odstąpił mi mieszkania na pewien czas. Po-tem... nie wiem jeszcze.

— Dobrze zrobiłaś, Krysiu, że uciekłaś z Rarogów. To morowa buda.

Krystyna uśmiechnęła się, lecz zmieniła przedmiot:

— Cóż to wy tak długie w tym roku macie wakacje?

— Ee!—machnął ręką Miś—dogonim.

Znowu on zapragnął mówić o czem innym.

Zapytał z wielką powagą:

— To Kazio mieszka w miasteczku?

— Jaki Kazio?!

— No pewno, że nie Chmara pułkownik, ale Rokszycki. Widziałem go tylko co: piją z Benem Château-Ponikszta i zakąsują żydowską kielbasą... A pułkownik podobno w łeb sobie palnął, że dostał od ciebie kosza.

Krystyna mieniła się na twarzy, ale spostrzegłszy prędko, że Miś bredzi, byle tylko nazwać parę osób i złować wrażenie, jakie jej sprawiają te nazwiska, rzekła prawie gniewnie:

— Przestań! odwykłam już od tych dowcipów.

Miś spoważniał niby, chwycił się za przewiązaną rękę, jakby chcąc się wydać bardziej zajmującym, i rzekł dość gorzko:

— Gada się tak, byle zagłuszyć „handrę”. Albo już pić?... Człowiek żyje, jak pies.

— Cóż to znowu?... Wstąp—że na chwilę do domu... Albo poczekaj—tutaj jeszcze Karolina nie skończyła swej toalety—wyjdę do ogrodu.

— To nadobna Karolina także tutaj, a nie na księżej oborze?—nie mógł pohamować Miś niesfornego języka.

Na szczęście Krystyna nie dosłyszała, albo nie zrozumiała. Wysła przed dom, różowa w białej sukni, pachnąca, jak woda z leśnej krynicy. Misiowi oczy zabłysły od radości widoku.

— Oj, Krysiu!—westchnął, całując ją powtórnie w rękę—szukasz, szukasz po świecie, a najbliższych sobie...

Łamał się z trudnością wystąpienia, aż dokończył po rosyjsku:

— Preniebręgasz.

— Co to znaczy? nie rozumiem...

Obeszli węgiel domu i usiedli na ławce pod starą gruszą.

— Powiedz, Misiu, co słyhać w okolicy; tylko nie bajki, nie dowcipy, ale co się stało?

— Nic się nie stało. My polujemy, mama się nudzi, że gości niema, bo i Staś Kmita nie przyjechał.—Chmara do Piotra znowu.—I ludzie gadają o tobie, że mieszkasz w lesie z Sidorkiewiczem.

— A wy jak dowiedzieliście się, gdzie mieszkam?

— Ho, ho! my z Jurkiem wszystko wiemy. Ale możemy nie mówić, kiedy nie każesz.

— Wolę, żeby wiedzieli, że tu jestem, niż w lesie. Tylkobym nie chciała mieć wizyt żadnych.

— Tak my powiemy, że w poście i modlitwie, pod opieką dziekana i trzech księży przygotowujesz się do zmiany stanu...

— Najlepiej powiedziec prawdę, gdy kto zapyta.

— Aha!—przypomniał sobie Miś—czy wiesz, że Budziszówna z Wiszun wychodzi za Stasia Kmitę?

— Dlaczegoż nie mówisz?!—zawołała Krystyna radośnie.—Jakże się to stało?

Miś uśmiechnął się zbereźnie:

— Czy ja wiem, jak się to stało? On ją sobie upatrył, a ona jego. Powiedzieli to sobie mocno gdzieś w krzakach, no i zrobione.

— Nie pytam o to—rzekła Krystyna z niesmakiem—ale czy dawno był taki projekt?

— Nowy, podobno. Wszak ona miała niby wychodzić za Kazimierza Rokszyckiego.

Sprawdził odbłask tego nazwiska na twarzy Krystyny. Ale ona odpowiedziała poważnie i stanowczo:

— To plotki—pan Rokszycki nie ma zamiaru żenić się obecnie.

— Jak ty wszystko wiesz, Krysiu—osobliwość! Wiadomo, że jemu wygodniej nie żenić się. Jeździ sobie po świecie i gdzie popadnie, zabawi się. Tutaj to on w „mondzie” ryby łapał, tylko jemu nie powiodło się w „demimondzie”.

— Opowiadasz, nic nie wiedząc, Misiu. Plotki znosisz, jak baba.

— Ot co jeszcze!—zawołał Miś, dotknięty przymówieniem.—Jak on tutaj wam „robił kurę”, to sama wiesz, Krysiu, i matka także. A jak on w Wilnie pożywał się, to znowu ja wiem.

Postukał palcem w pierś swą wyдутą dla okazania dobitnie, że dobrze jest powiadomiony.

Krystynę ogarnęła niezdrowa ciekawość:

— Byłeś w Wilnie?

— Nie byłem, ale Fedkowicza widziałem wczoraj, który tam z nimi był. Sławną mi nawet opowiadał historię...

Krystyna nie pytała już, patrzyła jednak na Zasławskiego oczyma, które prosiły o dalszy ciąg opowiadania. Ciekawość kobiet w tych wypadkach przemaga nawet wstręt do usłyszenia czegoś bolesnego. Miś skorzystał ze sposobności przysłużenia się bliźniemu rodzaju męskiego.

— Nasze apostoły...—zaczął młody ksiądz z zadowoleniem.

— Jakie apostoły?

— Ci z Warszawy, Budzisz i Rokszycki, zaprosili Fedkowicza na kolację z jakąś Mitzi, sztykarną Wiedenką—mówi. No i ba-

wili się tam zdrowo. Kaziowi to nic, bo on tęgi, ale starego na drugi dzień parala pomacała. Stary płacił, a Kazio sobie miał wygodę. Chytry mały!

— A! nie ciekawam waszych historii—zawołała Krystyna, powstając nerwowo z ławki—zawsze to samo: wielkie uczucia, obowiązki społeczne, a potem zabawa w karczmie!

— Cóż?—rzekł Zasławski pobłaźliwie—nie każdy mężczyzna ksiądz. A kolacja była u Szumana, nie w karczmie. Tam i wyższe towarzystwo.

— Masz mi coś ciekawszego do powiedzenia?—zawołała Krystyna z nietajonym gniewem.—Mnie takie historie nie bawią. Wszyscy jesteście brudni!

— Poczekaj, Krysiu; jaż tam nie byłem. Ja sobie poluję tylko, żeby odegnać złe myśli... Mnieby i Mitzi nie zamałowała, gdybym kochał wyższą kobietę...

Krystyna spojrzała poważnie na przychajonego urwisza, którego dotychczas widziała przed sobą nieosobiście, prawie tylko jak dźwięczący aparat telefoniczny.

— Tybyś także potrafił—rzekła dwuznacznie.

— Nie, Krysiu, ja dużo seryozniejszy, niż myślisz.

Rozmowa zamierała, zwłaszcza że Miś o psychologii i uczuciach wyrażał się jeszcze trudniej, niż o przedmiotach potocznych. Ale nadszedł z kościoła ksiądz Wyrwicz. Tego znajomego od najpierwszych lat dzieciństwa, zwykł się „bać” młody Zasławski, o ile bać się można było księdza Antoniego, który nigdy przeciw nikomu nie podniósł ręki, ani nawet głosu. Ale przemożny instykt nakazywał go poważać; zabawny też nie był ksiądz profesor, w pojęciu Misia. Więc Miś powstał śpiesznie na spotkanie księdza, powitał go z uszanowaniem i milczał, jakby schwytyany na złym uczynku. Ksiądz zaś przemówił bardzo uprzejmie:

— Widziałem już Bernarda i Jurka. Szukacie obiadu, toć z nami go zjedzcie, jeżeli Krysia pozwoli. Ogromnie mi urosliście—zapewne już w uniwersytecie?

Te i tym podobne, choć przychylnie, zapytania księdza Antoniego sprawiły, że obiad we dworku był mniej ożywiony w pięć osób, niż zwykły we trzy. Młodzi księżęta zachowywali się z godnością, starając się utrzymać na poziomie konwersacji poważnej. Beno przypomniał sobie jakąś anegdotę polityczną z Dumy petersburskiej. Miś naszkicował mozolnie stanowisko swoje w polityce krajowej. Na obie odezwy ksiądz Antoni odpowiedział bez wszelakiego lekceważenia. Projektowany ślub panny Aldony z Kmitą stał się także przedmiotem uwag pochlebnych dla młodej pary. W rozmowie wspomniano też o zjeździe ziemian u Chmary, a przy tej okazji wymieniono i nazwisko Rokszyckiego.

— Jakże się wam podobał pan Rokszycki w Rarogach?—zagadnął ksiądz Antoni.

Miś zrozumiał, że trzeba tu odpowiedzieć, jak mężczyzna i jak ksiądz Zasławski.

— Dzielnny człowiek—orzekł z powagą.



Z teki pośmiertnej ADOLFA DYGASIŃSKIEGO:

## CHAM.

NOWELA. 4)

Kiedy wszedł do cielętnika, warknął na skotaka głosem straszliwym:

— Psiakrew, niemrawo jeden, znowuś mi wpuścił tę małą starą do obory dworskiej!

Musiałek otworzył szeroko oczy, gębę, zbliżył się co tchu do mistrza, pocałował go pokornie w rękę, odpowiedział:

— A no!

To miało znaczyć:

— Cóż ja pocznę, skoro baba jest nieposłuszna?

Udobruchał się cokolwiek, gdyż jego poczucie władzy znalazło odrobinę zadowolenia: Jaga, chociaż zaszczycona łaskami pańskimi, zmykała przed nim ze strachu, a Musiałek złożył mu nowy hołd uległości. Nawet owczarz i parobcy folwarczni, ponieważ odbyli niedawno spowiedź, okazywali względność należną zwierzchnikowi. Tem bardziej jurzył się w sercu przeciw żonie, która nie chce wystąpić wobec dworu przy popisie cieląt i nadto zrobiła wyrzut obraźliwy:

— Spowiedź sprzedałeś za dukata!

Dawniejsze jej winy także mu dzisiaj stawały w pamięci. Żądał parę razy, aby poszła do pana rządcy, prosiła o pozwolenie utrzymywania na folwarku trzeciej krowy.

— Nie chciała! Rządca zrobiłby to dla niej z pewnością... Przecież nie ubyłoby baby, a ja miałbym trzy krowy z cielętami. I po cóż się żeniłem? Czekaj, psia-duszo, dam ja ci za to sprzedanie spowiedzi!

Weronika robiła w dalszym ciągu porządki przedświąteczne. Podczas gdy sprzęty i naczynia wymyte schły przed domem na słońcu, gospodyni nakryła głowę płachtą, a uzbrojona w pędzel na baranim rogu, zabrała się do bielienia ścian izby. Wtem róg barani pękł i Maciejowa nie mogła w otworze jego osadzić długiej żerdki, co utrudniało sprawę pobielania górnych okolic. Przystawiła więc drabinę, do której przywiązała na sznurku garnek z bielidłem wapiennym, i, wspinając się po szczeblach, zmieniała ściany brudne na czyste.

Odbywała właśnie tę czynność nad drzwiami, kiedy Maciej wszedł z sercem bardzo gniewnym, z łbem zadartym do góry, i czołem uderzył o garnek.

Naczynie pchnięte zabujało na sznurku, powróciło do głowy włodarza, rozpadło się w skorupy, chlusnęło na chłopca mlekiem wapiennym. Kaczor syknął i z oczyma zamrzonemi rzucił się na drabinę, która spadła na niego wraz z babą. Tak przywalony do podłogi zaklął straszliwie, potem ruchem gwałtownym odrzucił drabinę z babą.

Kobieta przerażona myślała przedewszystkiem o mężu, czy mu wapno nie wyżre oczu. Ale nic się nie stało oczom; tylko krew broczyła z nosa włodarza, barwiąc ubielonego na czerwono.

Maciejowa zakrzętała się żwawo, podbiegła z miską wody, chciała omyć męża.

Dostała za to kułaka i usłyszała:

— Poszła precz, suko, bo uśmiercę!

W tej chwili opuściła izbę, usiadła na przyzbie i zapłakała. Gniew męża wydał jej się sprawiedliwym.

— Com ja też najlepszego zrobiła!

Dzieci zaraz przybiegły i Jaś mówił:

— Pewnie dlatego smucicie się, Matusi, że Żydzi w Wielki Piątek ukrzyżowali

Pana Jezusa? Nie płaczcie, toć On trzeciego dnia zmartwychwstał!

Pogoda kwietniowa dopisywała, nazajutrz dzień był jeszcze piękniejszy: więcej blasku, ciepła, kwiatów, motyli. Włodarzowa pracowała od świtu, pokończyła porządki, zwrzynała mężowi śniadanie i wzięła się do pieczenia kołaczów. Zamierzała zrobić dzieciom niespodziankę, napiec im małych placuszków, przyczem miała na pamięci i Maciusia niemowę, zupełnie zaniedbywanego przez rodziców.

To dzieło miłości macierzyńskiej należało wykonać w tajemnicy, przeto Maciejowa wyprawiła dzieci z izby na całe popołudnie.

Małe wzięły Maciusia w środek między siebie i, podtrzymując kalekę pod chude rączki, wyprowadziły go za obręb folwarku. Szło im o to, aby naśladować matusią, lepić z gliny kołaczki na święta.

Wyrwy, parowy głębokie, rzeźbione przez potoki powodzi wiosennych, dostarczyły dzieciom obfitość materiału podatnego do zabawy. Maciś brał udział bierny w tych zajęciach: usadowiony na szczycie ściany strome go wąwozu spoglądał obojętnie w dół, gdzie Jaś i Kasia przyrządzali święcone.

Trzask z biczków, turkot powozów jeżdżących na folwark, odwróciły uwagę dzieci od kołaczów. Jaś i Kasia wygramolili się co tchu z parowu, aby popatrzeć na zjawisko rzadkie w Kamionce głuchej i puste. Maciś pozostał samotny nad wąwozem.

Dwór z Lutopola zjechał na oględziny cieląt i dzieci Weroniki miały co widzieć. Przodem pędziły dwa powozy z paniami — każdy w cztery konie dziarskie. Za nimi pomykał powozik lekki dziedzica w parę szpaków prześlicznych. Rządca na wierzchowcu karym i praktykant gospodarski na kasztanie, zamykając orszak, sadzili w lansadach. Blask bił od powozów, uprząży, od galonów służby, od strojów prześlicznych na paniach i panienkach. „Jasne państwo” pochodzi zapewne od owej jasności. Z nieba spadły na wiosnę, czy co, takie motyle precudne?...

Małe, porwane tym blaskiem, zapomniały o plackach, o Maciusiu, o wszystkim — żyły oczyma. Szły za luną świetności, za tęczą barw, zrywały sobie oczy, nie mogły się napatrzeć.

Chłopiec zupełnie przyłgął wzrokiem do koni: ten ogromnie piękny, tamten jeszcze piękniejszy, a inny — chyba mu skrzydeł tylko brakuje, ażeby wzleciał i pod niebo. Jak one wspaniale kiwają łbami, jak niecierpliwie biją kopytem w ziemię, jak groźnie rzą, parszają i żują wędzidło i rwą się do biegu — o Jezus Marya! Malec doznał tak wiele wrażeń nadzwyczajnych, że koniecznie musiał się podzielić niemi; trącił siostrę i bąknął:

— Kasiu, widzisz ty?

Ale Kasia właśnie wlepiła oczy w panie, panię, podobne do obrazów najpiękniejszych, i nie widziała już nic innego. Suknie jedwabne barw przeróżnych mieniły się w słońcu precudnie; wstęgi, parasolki, kwiaty przy kapeluszach i same kapelusze jaśniały prześlicznie. Chciałoby się uwić z tego wianek piękny i ponieść do kościoła, aby go ksiądz poświęcił. Broszki, klamry, spinki, szpilki, guziczki, błyszcząły jakby gwiazdki. Trudno uwierzyć, że to wszystko jest na jawie!

Otóż wypędzono na pokaz i cielęta, które — zupełnie jak dzieci — wpadły w zdumienie na widok okazałości niezmiernej, utworzyły nokoło krąg i wpatrywały się w świetnych gości oczyma wyłupiastymi.

Kaczor z głową odkrytą ciągle się koryzył, bił czołem przed jasnością, powtarzał nieustannie:

— Jasnie pan, jasnie pani, jasnie panię.

Jaga jeszcze tem bardziej. Uwielbienie i cześć blasku panowały na folwarku.

Państwo starsi przyglądali się z ogromnym zajęciem młodym szwycom, zarzucali pytaniami włodarza, skotaka, a najgłówniej — Jagę.

Maciej w odpowiedziach bardzo starannie podkreślał swoje zasługi. Musiałek to kiwał, to wstrząsał głową, niekiedy wyrzucił z siebie:

— Ho ho! A no!

Jaga mówiła za męża i za siebie, zabierała głos, opisując malowniczo chów cieląt na folwarku. Przytem obcałowywała po rękach panią i panny, powtarzała nieustannie „my”, przez co zaznaczała wyraźnie swój udział osobisty w oborze. Jedna tylko panię, Maniusia czteroletnia, wnet sobie coś sprykrzyła te oględziny cieląt. Trzymana za rączkę przez bonę, zwróciła śliczną główkę, nakrytą białą, aksamitną czapczką, w tę stronę, gdzie Jaś i Kasia stali w zdumieniu z usty otwartymi.

— Chcę, żeby te dzieci przyszły tutaj! — nalegała Maniusia na bonę po francusku.

Wsiadano już do powozów. Pani dziedziczka z niepokojem widocznym spoglądała na swą rękawiczkę wytorną, na której wyścięnięto mnóstwo pocałunków. Czy to umyślnie, czy przez roztargnienie, zaprosiła do dworu na święcone tylko Musiałka i jego żonę, a pominęła włodarza. Upośledzenie straszliwe, jakgdyby kto wbił nóż w serce Kaczora! Przytem dziedzic rozmawiał na boku z rządcą tajemniczo, co dało włodarzowi wiele do myślenia.

Ale na odjeździe Maniusia poczęła się niecierpliwie, tupać nóżką i ze łzami w oczach oświadczyła po francusku, że nie odjedzie stąd, dopóki nie przyjrzy się zblizka „tym małym dzieciom”. Zacięła się w uporze i pan dziedzic wyłożył po polsku Maciejowi życzenie Maniusi. Rzecz prosta, włodarz uważał sobie za obowiązek święty spełnienie rozkazu władzy najwyższej. Żwawo poskoczył ku dzieciom, nawołując:

— Pójdźta!

Małe, w odpowiedzi na wezwanie ojca, poczęły zmykać: widocznie bały się oglądania tego blasku z blizka. Ojciec uznał za właściwe postąpić z dziećmi, jak z cielętami: pojmać i przedstawić dworowi. Usłużna Jaga puściła się także w pogoń za dziatwą. Musiałek usiłował wesprzeć ich jako naganka.

Jaś uchodził szparko i Jaga pochwyliła go dopiero na progu czworaków. Kasia zawadziła o kloc drzewa, upadła, zraniła sobie główkę. Oboje dzieci wydały przeraźliwy krzyk trwogi, który wywabił natychmiast matkę z czworaków.

Weronika nie miała pojęcia, o co chodzi, widziała tylko dzieci w rękach oprawców i z zapalem matki-lwicy rzuciła się do ich obrony.

Jaga, czując, że ma dwór po swej stronie, mężnie broniła zdobyczy. Mimo to, poniosła porażkę: matka niebawem wydarła jej z rąk chłopczynę przerażonego, podrapanego, prawie pozbawionego koszuli w ogniu walki.

Maciejowa uderzyła teraz na męża, który niósł do powozu Kasię wrzeszczącą w niebogłosy, zakrwawioną i trzepocącą się, jak ptak zraniony.

— Zbóju! — krzyknęła głosem strasznym i wstrząsnęła nim z taką siłą, że ostupiał i oddał jej dziecko. Wybełkotał tylko:

— Państwo chcą widzieć moje dzieci...



— Twoje? — spytała, patrząc nań wzrokiem groźnym, którego chłop nie mógł wytrzymać i spuścił oczy.

Drżąca ze wzruszenia, rozogniona, piękna w gniewie o dzieci, szła ku czworakom, uspakajając córeczkę nawpół omdlałą, ocierając zopaską krew na jej czole, łyż w oczkach.

W tejże chwili Jaś wyskoczył z jakiejś kryjówki, przypiął się do spódnicy matusinej. I Weronika, niby kwoka, osłaniająca skrzydłami pisklętą przed drapieżnym ptakiem, zniknęła za progiem czworaków.

Kaczor, szczerze strapiony, zawstydzony, tłómaczył się przed dziedzicem:

— Cóżem ja winien, że mam babę złą, głupią?

Pani dziedziczka kręciła nosem i już nie dopuściła włodarza do łaski ponownego ucałowania ręki.

Dziedzic uspokoił Maniusię zapłakaną głaskaniem po główce i przemówił po francusku do jej rozsądku:

— Dzieci chłopskie są niegrzeczne. Odjechali.

Włodarz, gruntownie przeświadczony, że mu żona zawiązała świat, zepsuła życie, uczuł w sobie złość ogromną, podążył do czworaków, a słowo „psiakrew” wisiało mu na ustach.

Musiątek zmiarkował coś z miny mistrza, potrząsał głową i, spoglądając za odchodzącym, szepnął do Jagi:

— Dzisz ty!... O jej-jej!

Maciejowa siedziała w izbie posępna, trzymała na rękach Kasię, która miała główkę obwiązaną w białą szmatę i ze strachu, z potłuczenia, dostała gorączki.

Jaś klęczał przy matce z głową opartą na jej kolanach i, na widok ojca, wchodzące-

go z miną groźną, przymknął się bliżej do matusi.

Włodarz z rękoma w kieszeniach sukmany, w czapce na bakier, zły jak wszyscy dyabli, stanął przed żoną i zgrzytnął na nią cierpko:

— Cóż ty zaś myślisz, suko?... Niech ja raz wiem, kto tu ma prawo rządzić! Moja wola jest w tym domu, ja tu pan i wszystko jest moje!... Psiakrew, dłużej tak być nie może!

— Popisuj się przed państwem z cielećkami, a dzieci nie zabijaj!— odrzekła spokojnie Weronika.

— Wolno mi, bo i dzieci są moje! Wolno mi bić, zabijać!— krzyknął, a nogą tupnął w ziemię.

Baba porwała się z ławy, cała w płomieniach, z dzieckiem na ręku, skoczyła do męża:

— Ja, matka, mówię ci—wara od dzieci! Człowieku, czy ty wiesz, co to są dzieci? Czyżes ty kiedy przez jedną chwilkę kochał szczerze te małe, o których mówisz „moje dzieci?”

Ułakł się jej wzroku, postawy, a nie chciał tego zdradzić i machnął ręką lekceważąco.

— Głupia babo!  
Ona znowu usiadła.

Chłop przeszedł parę razy po izbie, burzył się w milczeniu przeciw żonie, która mu praw odmawiała. Złość ogarnęła go na nowo. Teraz stanął przed nią tem gniewniejszy, że się ulakł przed chwilą, i warknął jej nad głową:

— Z błota, z gnoju cię wyciągnąłem, ścierno, a ty mi teraz chcesz przewodzić?

Wyrzucił z siebie potok przekleństw, nie dających się powtórzyć.

Kobieta milczała i tylko kilka łez urosła na główkę dziecka.

Kaczor miał naturę wilka, który wpada we wściekłość na widok krwi płynącej z rany współbrata i gotów go pożreć. Już podniósł rękę, oczy mu zbieleły, wargi się trzęsły ze złości, zamierzał uderzyć żonę.

Wtem z jękiem głuchym żałości, bólu, przerażenia, Jaś wpada mu pod nogi, czepia się kolan jego i woła:

— Tatusiu, nie bicie matusi!

Włodarz pogardliwie kopnął malca, odtrącił i w tej samej chwili poczuł, że go ktoś dotknął z tyłu w ramię. Rozżarty, zaperzony, odwrócił głowę z nagłością, spostrzegł Jagę.

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście!— rzekła żona skotaka.— Byki zbodły się okrutnie i Boruta przebił rogami brzuch Waligórze, aż flaki na wierzch wylazły. Mamy teraz bal na święta! Odrazu mówiłam, że nie trza tych byków puszczać razem do okólnika... Kiej się pan dziedzic dowie, dopiero będzie...

Nie dokończyła mówić, gdyż Kaczor syknął:

— Psiakrew!

I gotów do zadania ciosu z kułakiem uderzył na babę.

Umknęła co tchu z izby, a tylko za drzwiami poczęła się odgrażać, powrzaskiwać:

— Oj, dostaniesz ty, sobako, od dziedzica i za mnie i za te byki!

Włodarz zrozumiał jednak, że wypadek z bykami jest wodą dobrą na młyn Jagi, i poszedł do obory.

Rzeczywiście. Waligóra, ciężko zraniony leżał, brocząc w krwi własnej, pomrukiwał z bólu. Musiątek strapiony stał nad bydlęciem z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, wzdychał.

(DCN)

ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

Panu M. K. N. Utwór Pański jest przesiąknięty jak najszlachetniejszymi myślami, lecz wykonanie pozostawia pod względem artystycznym wiele do życzenia.

P. Wacławowi Strzemboszewi w Oleksincu Polnym. Adresu p. Prószyńskiego nie znamy. Radzimy zwrócić się w tej sprawie do dra Stanisława Kozickiego w Paryżu, 22, bd. Edgar Quinet.

Panu Tadeuszowi Kühn... Nie wydrukujemy.

Leopold Cierń. Wiersza „Na śmierć tuberozy” nie zamieścimy w Tygodniku.  
J. F. F. C. w Krakowie. Nie wydrukujemy.

P. K. D. Politechnika w Wiedniu. Posiada wydział architektoniczny. Adres taki wystarczy.

P. Gąsiewskiemu w Odessie. Serdecznie dziękujemy. Przy sposobności zużytkujemy.

Stalemu prenumeratoremu Tygodnika. Adresów lekarzy nie zamieszczamy. Radzimy zwrócić się o adres specjalisty do lekarza domowego, który dotąd dziecko leczył.

N A D E S Ł A N E.



**IDEALNY POKARM**  
dla niemowląt i dla dorosłych,  
dotkniętych chorobą żołądka.

**KALODONT**  
Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.  
Żądać wszędzie

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku,  
**G. G. LARDELLI** Czekoladę **Mleczną—Unique, Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.  
Boduena 5. Nowy-Swiat 27.



**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)  
Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

**PARFUM DE LUX**  
**REVE CHERI**  
ROYAL ORCHIDIA, ROYAL BOUVARDIA  
EPROCHASKA PRAGUE.

**ZDROWIE** niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. **ROZWÓJ POTĘGI WOLI**, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

**C. Skoryna**  
Fabryka maszyn i kamieni młyńskich  
budowa młynów, Turbiny, Transmisje i t. p.  
Warszawa-Praga  
OLSZOWA 14, Tel. 49.



## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Litwince.* Mydła drogie nie wyróżniają się gatunkiem, lecz jedynie zapachem. Mydło rublowe i 40-kopiejkowe jednakowo dobre będą. Przytem mydła drogie silnie pachnące mogą mieścić w sobie zapachy drażniące skórę. Dla tych przyczyn, najlepiej używać mydła *Neutralnego* w cenie 40 kop.

*Aurelii L.* Centralne Laboratorium Chemiczne wyrabia znakomity środek na wzmocnienie cebulek włosowych i usunięcie łupieżu. Jest to *Esencja Tataro-Chmielowa*, która użyta według przepisu, stanowczo pani pomoże. Węgry z twarzy usuwa natychmiastowo *Pureol Dufoura*.

*Niezaradnej.* Mydło *Gossa* nie wpływa na ogólne schudnięcie, lecz miejscowe, i to jest właśnie jego zaletą. Apfikować należy tylko w lecie, wcierając lekko, koniecznie 15 minut, chociażby z małymi przestankami, zważając, aby piana ciągle mokra była. Chcąc świecąca skórę na twarzy zmatować, należy zmywać parę razy na dzień płynem zwanym *Baume de Bouleau Ponsarda*. Farba *Hennoline* ma jeszcze tę zaletę, że w razie nadania zbyt ciemnego koloru, można włosy momentalnie rozjaśnić.

*Wdówe.* Wszystkie kremy bielące cery nie wybielają, lecz malują. Jedyny krem, który wybiela naturalnie, jest to *Abarid*, galaretowaty wyciąg z cebulek białej lilii; działanie jego jest radykalne, zjedrnia muskuły twarzy, przez co skóra się nie fałduje a tem samem zabezpiecza od znarszczek. Jeżeli *Metamorfoza* zbyt ostrą się okazała, należy na owe żółte plamy stosować *Krem Dra Orglę*.

*Do wszystkich.* Listy o porady należy znaczyć na kopercie „Do P. Mercédès. Perfumerye: *Perfection*, Szpitalna 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska 109, zobowiązały się pocztą dostarczać wszelkie polecane przez nas specyfiki.

Mercédès.

Z LABORATORYUM L. LALEUF  
w ORLEANIE (FRANCYA).

Jodyrina Dr. Deschamp

(Iodhyrine du Dr. Deschamp)  
Ogólnie uznany środek przeciw**Otyłości**

zalecany przez lekarzy z doskonałym skutkiem.

Jodyrina Dr. Deschamp

USUWA OTYŁOŚĆ stopniowo w bardzo krótkim czasie. Niema ubocznego szkodliwego działania.

Cena pudełka (60 pastyl.) Rb. 4.25 k.  
Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael“.

KARPIŃSKIEGO  
**KREM OGÓRKOWY MATOWY**  
Cena 60 kop.  
Laboratorium Chemiczno-Farmaceutyczne  
Fr. Karpińskiego  
w Warszawie Elektralna 35. Telefon 600  
Żądać wszędzie.



Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT” żądać wszędzie  
H. Trembińskiego

25% Netto doходу rocznego może mieć nabywca interesu handlowego egzystującego od 30-u lat w Warszawie. Wiadomość: Cieleśka, 20 Mazowiecka.

KALKOMANIE naśladowujące słoje i kolory wszelkiego drzewa i marmuru (Metr 30 k.) oraz WITRAŻE (Glaciers) do okien (Metr od 35 k.). — Rezultaty zadziwiające. — Oszczędność wielka. Prospektusy, próby bezpłatne. Magazyn Francuski (Berga 8).

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT  
GEBETHNERA I WOLFFA**

W WARSZAWIE

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach

„UNIWERSAL-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie



DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓLROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rub. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

## SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).  
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

## Gebethner i Wolff

W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

## Dr. JAN KIEŁKIEWICZ

Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych, do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37.

Agentura nasza w Łodzi

„PROMIEN”

ulica Piotrkowska №. 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia  
na rok 1909.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.